ŚWIATOWID

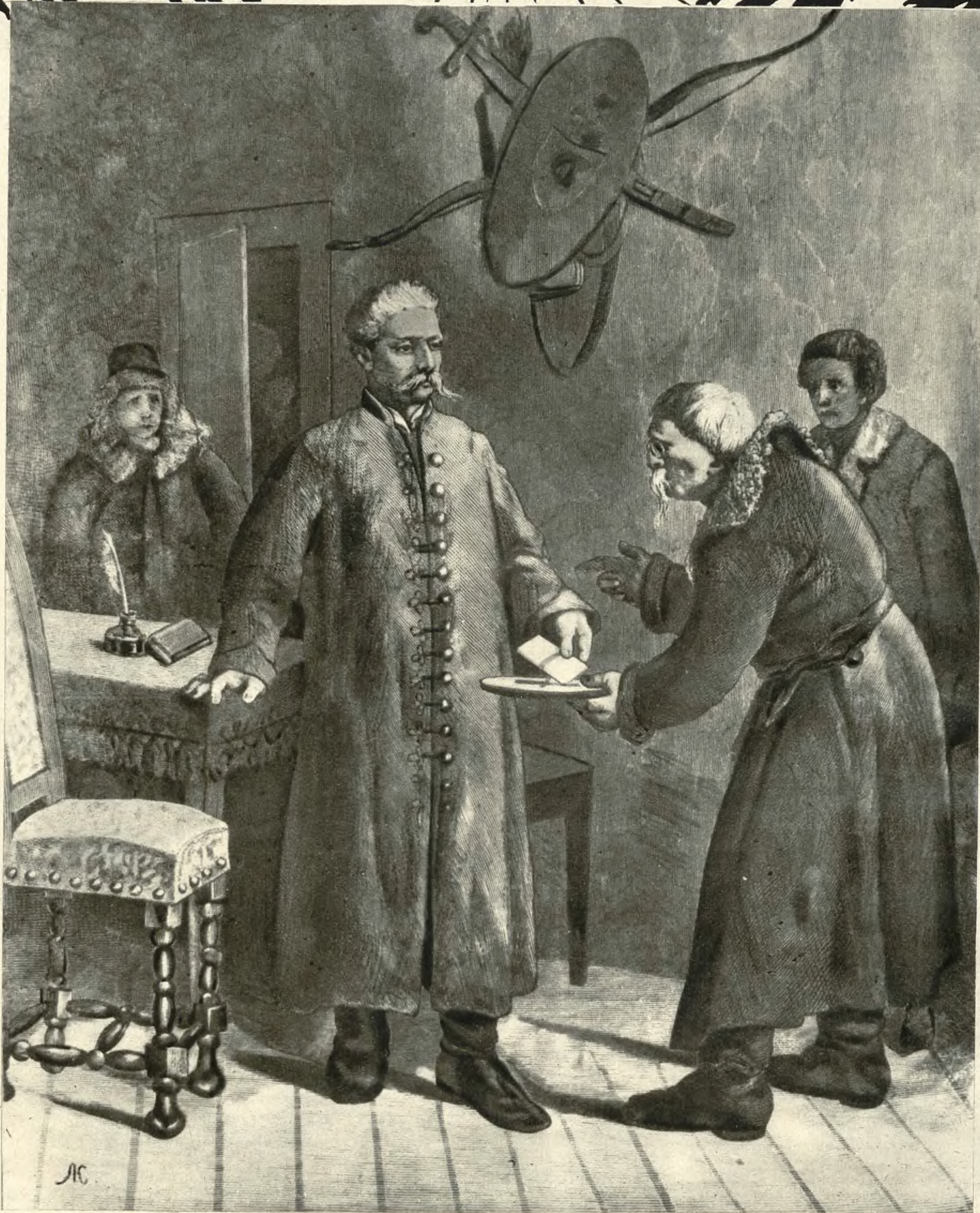
21 GRUDNIA 1935 R.
NUMER ZAWIERA
32 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁO-
WACJI Kc. 2.20.



Obraz Van Dycka.

LULAJŻE JEZUNIU...





Z opłatkiem.

Drzeworyt A. Kozakiewicza z drugiej połowy XIX. wieku.

Wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom naszego pisma składa życzenia Wesołych Świąt Redakcja „Światowida"

FELJETON ŚWIĄTECZNY.

Gdy zbliżają się święta Bożego Narodzenia, ogarnia mnie jakieś dziwne wzruszenie. Przypominają się lata dawne „sielskie, anielskie", kiedy to żyło się beztrosko i marzyło o choince, przystrojonej złotemi kulami, osrebrzonej włosami anielskiemi i jaśniejącej żarem świec.

Gdy zgromadziliśmy się przy stole wigilijnym, stary ojciec ujmował w rękę opłatek i dzieląc się nim z obecnymi, życzył wszystkiego najlepszego:

— Życzę wam, abyśmy się znowu zdrowi spotkali w roku następnym.

Minione dawno lata... Zabyły się i nie wrócą.

Dajmy jednak spokój wspomnieniom i wspominkom. Tyle śniegu naokół, bije od niego jasność taka, że w sercu robi się jakoś pogodniej. A śnieg ma to do siebie, że usypia i koi.

Wychodzę więc na szlak życia i wyciągam do Was dłoń drodzy Czytelnicy! Wiem, że macie strapione miny, że dopiekło Wam do żywego w ostatnich czasach, ale poradzę Wam na to jedno: nie smućcie się. To i tak wam nic nie pomoże, a zatruje czadem święta. Raczej cieszcie się i szukajcie pod choinką nadziei, matki mądrych.

Niejeden z Was myślał, że napiszę: matki głupich. Przenigdy! Dla mnie nadzieja jest czemś, co przystoi tylko mądrym, a nie głupim. Żyć nadzieją, to znaczy wierzyć w przyszłość i brać się za bary z trudnościami.

Każdy z nas zaś, czy chce, czy nie chce, musi być tym koniem, któremu każą skakać przez przeszkody, jeżeli chce być pierwszym u mety. Skaczmy więc i śmiejmy się, oczekując, co nam Gwiazdka przyniesie? Wszak Mussolini, osaczony ze wszystkich stron, znalazł niespodziewanie pod choinką pół Abisynji, którą mu podłożyli Sir Hoare z Lavalem, negus znowu otrzymał porcję bomb, wprawdzie nie czekoladowych, ale prześlicznie eksplodujących (niczem sztuczne ognie), Chiny dostały... autonomję kilku nowych prowincyj i patronat japoński, Niemcy zapewnienie, że słoniny, jak niema, tak nie będzie, a narciarze perspektywę Bożego Narodzenia po wodzie. Jak na kryzysowe czasy, los więc nie pożałował ludziom i narodom Gwiazdki, ale każdemu dał, co mu się patrzyło.

Nie frasujmy się więc i śpiewajmy: „W dzień Bożego Narodzenia radość wszelkiego stworzenia...". Radość i tylko radość niech panuje w naszych sercach.

Osęka.

GLORIA... GLORIA...



Fragment fresków w kaplicy Medyceuszów w pałacu Riccardi we Florencji, malowanych w 1459 roku przez Benozzo Gozzoli'ego (1420—1498).

JODEŁKA WIGILIJNA

Rokrocznie w okresie świąt Bożego Narodzenia nad rynkami miasta unosi się żywiczna woń lasu, płynąca od „wigilijnych drzewek". Jakby za czarodziejskiem dotknięciem w ciągu paru dni wyrastają rzędem świerki i jodełki, większe i mniejsze, aż wreszcie powstaje las.

Biją na widok drzewek radośnie dziecięce serduszka, oczekujące z utęsknieniem tajemnej, wigilijnej nocy, kiedy Aniołek zleci z nieba i przyniesie im choinkę, jarzącą się od świateł i błyszczącą od mnóstwa świecidełek.

A w sercach dorosłych budzi się rzewne wspomnienie najszczęśliwszych, beztroskich lat dziecinnych, pełnych wiary i ufności, oczekujących od „wigilijnej gwiazdki" spełnienia najgorętszych marzeń.

Najpiękniejszą choinką jest jodełka, najdłużej bowiem zachowuje swą świeżość i nie tak łatwo traci szpilki, jak świerk. Łatwo ją od świerka odróżnić po tem, że szpilki jej są płaskie, na szczycie wycięte, a od spodu ich przebiegają równolegle do siebie dwa białe paski.

Jodła jest drzewem górskiem. W Polsce jako składnik lasów występuje w bardzo niewielkiej ilości, bo zaledwie w 3 proc. Rośnie w okolicach górskich, na dobrym, wilgotnym gruncie. W Polsce żyje jeden tylko jej gatunek — jodła zwyczajna (Abies alba). Największe jej skupienia występują w Karpatach i w niższych położeniach Tatr, gdzie rośnie w towarzystwie buka, najwyżej na wysokości 1100 metrów ponad poziom morza; jako pojedyńcze drzewo rośnie także w krainie świerka, dochodząc do 1400 metrów. Jodła jest też głównym gatunkiem tworzącym lasy w paśmie gór Świętokrzyskich. Grzbiet Łysogór jest pozbawiony jodeł, występują one tylko na zboczach, tworząc słynną, prastarą puszczę jodłową. Dawniej puszcza jodłowa pokrywała większy obszar, gdzie, jak pisze jej piewca Żeromski: „Naokół stały jodły ze spłaszczonemi szczytami, jakoby wieże strzeliste, niewyprowadzone do samego krzyża. Mchy stare zwisały z olbrzymich gałęzi. Wrósłszy między głazy w niezmierną ławicę skalisk aż do grutownej posady serdecznym korzeniem, wszczepiając pazury pobocznych skrętów w każdy zuchelek ziemi i wysysając każdą kroplę wilgoci, wielkie jodły chwiały królewskie swe szczyty w przeciągu nie jednego już wieku pomiędzy mgłami Łysicy".

Od siedmiu lat słynna ta, prastara puszcza jodłowa jest Parkiem Narodowym im. Stefana Żeromskiego, który szczególnie ten zakątek Polski gorąco umiłował.

Z gór schodzi jodła na tereny wyżynne. Występuje na płaskowzgórzu Łukowskiem i w puszczy Sandomierskiej, unikając suchego niżu. Jedyne jej stanowisko niżowe znajduje się w puszczy Białowieskiej, gdzie występuje wyspowo i utrzymać się tam może dzięki podmokłemu podłożu, które zapewnia jej dostateczną ilość wilgoci, potrzebnej do życia. Rośnie ona tutaj w ilości kilkuset okazów, z których najgrubsze dochodzą do półmetrowej średnicy, na kępie, trudno dostępnej, w uroczysku zwanem „Cisówką" lub „Cisanką". Nazwa tego uroczyska poszła prawdopodobnie stąd, że lud zowie jodłę także „białym cisem" ze względu na jej białą korę oraz układ szpilek podobny do cisa.

Obecny zasiąg jodły przebiega w Polsce wzdłuż linji: Wrocław, Kalisz, Koluszki, Łuków, Bełżec, Stanisławów, Kołomyja. W województwie lubelskiem w Jacie i Toporze znajdują się rezerwaty jodłowe, usunięte z pod wpływu gospodarki człowieka. W Jacie rośnie jodła w towarzystwie olchy i sosny, w Toporze zaś z domieszką sosny i osiki.

Nie bez wpływu na rozmieszczenie jodły pozostaje temperatura. Szczególnie wrażliwą jest jodła nie tyle na niską temperaturę, ponieważ n. p. temperaturę —4° C znosi zupełnie dobrze, ile na wahania temperatury. Granica wschodnia zasięgu jodły pokrywa się wcale dokładnie z linją równych, średnich tempertur lutego. W Poznańskiem jednak i na Pomorzu, gdzie średnia temperatura lutego jest nawet wyższa, bo wynosi 0° C a więc zima jest łagodniejsza, jodły niema, dlatego znowu, że na zasiąg jej występowania wpływają także opady atmosferyczne. Północna granica zasięgu jodły leży na obszarach niżowych tam, gdzie gęstość opadów atmosferycznych jest większa, zwłaszcza w miesiącach letnich: maju, czerwcu, lipcu, a więc wtenczas, gdy przypada optimum dla okresu wegetacji. Jodła ma także pewne wymagania pod względem glebowym. Może róść na żyznych glinach spiaszczonych, loessach, bielicach, a także gruboziarnistych piaskach z płytkim poziomem wód gruntowych.



W okresie Bożego Narodzenia śpiewają studentki z Beaver College w Jenkintown (St. Zjedn. A. P.) pieśni religijne przy choince.

The New York Times — Berlin.

Jodła występuje w mniejszych lub większych drzewostanach litych, lub też rośnie kępami, czy też jako domieszka lasów bukowych, sosnowych, dębowych, lub świerkowych. Razem z jodłą występuje niekiedy zanikający już, niegdyś pospolity na niżu, modrzew polski. Jodła może dochodzić do 60 metrów wysokości. Żyje około 300 lat. Dojrzałość osiąga późno, bo dopiero koło 80-go roku życia. Lata nasienne, to znaczy lata obfitego wydawania nasion przypadają u jodły co 6 lub 8 lat.

Drewno jodły jest białe i lekkie, ma zastosowanie jako budulec na maszty, gonty, beczki, pudła do skrzypiec, także jako materjał opałowy. Z żywicy jej, która gromadzi się pod korą, powodując na drzewie tworzenie się guzów, otrzymuje się terpentynę, znaną zwykle w handlu pod nazwą terpentyny strassburskiej.

W Karpatach zdarzają się niejednokrotnie stare, na paręset lat oceniane okazy jodeł. Znane są zwłaszcza z Babiej Góry, gdzie do niedawna jedną z osobliwości była t. zw. „gruba jodła", występująca na drodze z Zawoi za Czatożą. Niedawno obalone piorunem, drzewo to miało w obwodzie 6 metrów i przypuszczalnie pamiętało jeszcze czasy Grunwaldu.

Dr Z. M.

GDY KARP WĘDRUJE NA STÓŁ WIGILIJNY...



Jak Polska długa i szeroka, w okresie przed świętami Bożego Narodzenia panuje ożywiony ruch na giełdzie ryb. Zapotrzebowanie, szczególnie na karpie, liny i szczupaki jest olbrzymie, gdyż ryby te, to tradycyjna potrawa na stole wigilijnym. Nie wszystkim może wiadomo, że karp polski, a specjalnie jego odmiana śląska posiada doskonałą markę na rynku międzynarodowym. Niedobór karpi na rynku krajowym pokrywa Polska importem z Węgier i Jugosławji. Na zdjęciu targ przedświąteczny na ryby, na placu Szczepańskim w Krakowie. Ag. Fot. „Światowid".

BOŻE NARODZENIE W PODHALAŃSKIEJ SZTUCE LUDOWEJ



Obrazek, który reprodukujemy obok, pochodzi z Orawy i jest malowany na szkle, w pierwszej połowie XIX. wieku.

Ojczyzną tych obrazków jest Podhale. Roznosili ją wędrowni artyści, którzy na zamówienie, wedle utartych szablonów, malowali Matkę Boską, czy Pana Jezusa. Chodzili oni od chaty do chaty, otrzymując za żmudną swoją pracę drobne wynagrodzenie i wikt.

Dziś te obrazki, malowane na szkle, stanowią bezcenne klejnoty muzeów etnograficznych. — „Boże Narodzenie" przedstawiano na tych obrazkach bardzo rzadko i dlatego obrazek, który tu widzimy, należy do unikatów.

ŚWIĘTA MARSZAŁKA NA PODHALU W 1914 R.



Marszałek Piłsudski w mundurze strzelców podhalańskich. ***Malował E. Karniej. Własność płk. dypl. Witolda Warthy.***

Listopad i grudzień 1914 r., a przedewszystkiem Boże Narodzenie spędził Marszałek Piłsudski na Podhalu.

Rozgromione armje austrjacko-niemieckie wycofały się wtedy poza Kraków i zatrzymały na linji biegnącej na wschód od Myślenic i Mszany Dolnej (Małopolska). Wtedy to I-a Brygada znalazła się naprzód w Makowie i Zawoi, potem pod Mszaną Dolną, po bitwie zaś pod Marcinkowicami w Sączu. W same święta Bożego Narodzenia stoczyła I-a Brygada sławną bitwę pod Łowczówkiem, gdzie dowodził szef sztabu Sosnkowski.

Marszałek Piłsudski niejednokrotnie podkreślał w swoich pismach, że Legjoniści nigdy nie czuli się tak dobrze, jak na Podhalu, gdzie otaczała ich atmosfera największej życzliwości i gdzie lud współdziałał z nimi czynnie, tropiąc wroga, dostarczając bez szemrań podwód i żywności, oraz zaciągając się do szeregów.

Wspominał Komendant także, że u stóp Giewontu idea strzelecka przybrała realny kształt, tam bowiem odbywały się ćwiczenia strzelców na długo przed 1914 r.

Wyrazem życzliwości Marszałka Piłsudskiego dla Podhala było utworzenie regjonalnej dywizji podhalańskiej, która pod wodzą gen. Galicy zdobyła wawrzyny na polach licznych bitew i odznaczyła się przy ściganiu bolszewików w 1920 r.

Wdzięczny też 1-szy pułk strzelców podhalańskich ofiarował w swoim czasie Marszałkowi Piłsudskiemu w darze mundur podhalański z dystynkcjami marszałkowskiemi, przechowywany obecnie w zbiorach belwederskich. Nawiązując do tego faktu, artysta-malarz E. Karniej wymalował w r. 1935 portret Marszałka w mundurze strzelców podhalańskich, który znajduje się obecnie w posiadaniu pułkownika dyplomowanego Warthy, szefa Dep. dow. ogól. Min. Spraw Wojsk. Niech ten portret przypomni w dniu wigilji Podhalu, że przed dwudziestu jeden laty na ziemi podhalańskiej spędzał Brygadjer święta, obroniwszy ją w krwawych bojach przed zalewem wroga.

HISTORJA O DZIKU — „WUJKU“.



W drodze ku kniei.
Photo-Plat — Warszawa.

Latem i jesienią, gdy dojrzały owoce bagiennej dąbrowy, chadzał sam. Opryskliwy dla warchlaków, nieznoszący kwiku rozbawionej czeredy loch, postarzały w stadzie, odłączył się odeń, wiodąc teraz żywot zgorzkniałego tetryka.
Był starym już wielce. Zakończenia szczotki grzbietu (którą w chwili gniewu czupurnie podnosił) zrudziały doszczętnie, na bokobrodach sierść wysrebrzała, tylko nos jego potężny przechodzący w talerzyk ryja, marszczył się coraz to bardziej, ukazując po bokach żółtawe kły.
Znał las swój, przez którego bagniska chadzał mimo swej wagi kolosalnej szybko i elastycznie, znał podleśne wygony, gdzie latem późnem szczypał owies i znał bór sosnowy, w pożarze słońca balsamem oddychający, a w zimowe dnie cichy i majestatyczny. Znał dalekie przestrzenie pól, w które, z lasu wyszedłszy o zmroku, wpatrywał się ciekawie, gdzie pod stogami strzech mieszkał człowiek i znał wreszcie człowieka. Br..r...r...y-ch!



Dzik spoczywający.
Photo-Plat — Warszawa.

Na wspomnienie to oburzał się zawsze. Pamiętał jego długą, wysoką sylwetkę, głos nieznośnie hałaśliwy i ból, który zadaje. Od boku prawego szła mu gdzieś jeszcze długa blizna, którą od pośliźgującej się kuli otrzymał, a którą musiał kurować długie tygodnie, ocierając się o żywiczne pnie świerszczyny. Tak... bardzo nielubił człowieka...
Niekiedy agresywny, potrafił być ten człowieczy twór i tchórzliwym niesłychanie, jak to wtedy jesienią, gdy na porębę wyszedł i samym swym widokiem dzika-olbrzyma spłoszył gromadkę dziewcząt w czerwonych spódnicach.
Zimą zaś, spierała go dziwna tęsknota za stadem. Odcięty odeń uczuwać zaczął dziwną tęsknotę za gromadą, młode loszki nie wydawały mu się tak hałaśliwe, przeciwnie — ich cienki kwik nabierał dlań dziwnego uroku, a młodzież męska, ta młodzież, którą cały rok pogardzał, wydawała mu się, bodaj czy nawet nie sympatyczną.
Tak żył i był takim, niewiedząc — co o nim mówią ludzie...
A ci nazywali go Wujkiem. Może był nawet i podobny do starego krewnego, trochę śledziennika o zawsze niezadowolonym wyrazie twarzy. Znali go i spotykali bardzo często.
Latem spłoszył na leśnych pastwiskach konie, że pastuchy na drzewa powłazili i tam przetrwali do świtu, a zeszłej zimy, gdy proboszczowi jadącemu saniami po kolendzie się pokazał, to staruszek zaniemówił i cały miesiąc piołunem go z tego strasznego wrażenia kurowano. I nie było na Wujka rady, naboje się go nie imały...
Jakżeż to być mogło! Obławę specjalną nań zwołano i zaproszono pana Andrzeja, co strzelcem takim był, że nawet po dziesiątym kieliszku, starej pani prezesowej obcasy z brauninga odstrzelał. Wyszedł na niego Wujko, z dwu luf strzelał go panisko pełnemi kulami z dwunastki, a ten tylko się obruszył jak pies po deszczu i poszedł dalej. Pan Andrzej flintę w śnieg cisnął i poprzysiągł, ze djabła na dziku widział, jak go sobą osłaniał. I „Wujko“ żył i rósł lata całe w ojczystej swej kniei. Aż oto znów nastała zima.
Po chlapaninie mokrej mrozy skowały ziemię, wyślizgały drogi gołoledzią, dekorowały okna gałązkami fresków i napędziły z północy szare chmurzyska. Spadł śnieg.
Mlekiem bieli zretuszował dal, dachy chat pokrył pierzynami z czystego puchu, tłumił gałęzie do ziemi i osypał, zasypał knieję.
A leśnik Gregory, do dworu na niekutych saniach dwie mile z lasu się przedzierał, przez śniegi się kopał i zameldował, że kiedy jak kiedy, ale teraz to by właśnie na Wujka pora była.
— Strzelb niewiele, trzy cztery najwyżej, ale dobrych by potrzeba, a chłopaków do gnania na folwarku jest. I tak bez roboty się badziają.
— Pana Andrzeja by zaprosić, on „spec“ od odyńca.
— Dobry to on dobry, tylko wtedy strzela, gdy dobrze jest się napiwszy, a bez pół litra to... frasobliwy gość...
Mobilizacja w takich wypadkach nie trwa długo. Dwie kartki rozesłane przez konnego, lakoniczna odpowiedź „dzięki, przyjadę“ i leśna armja jest kompletną.
A śnieg padał noc całą, ześcielając stare, a rysując nowe tropy, świeże i pulchne jeszcze, rozedrgane od nerwowego tropu.
Pobielał świat i stał się dziewiczym jak wtedy, gdy go jeszcze nie pokalała ludzka stopa.
Sanie bez janczarów płyną cicho, stłumione kulisami okiści, konie wciągnięte w orbitę czarów kniei nie zaparskają, a rozmowę na saniach toczy się półgłosem.
— Ja panie, w życiu przed każdym przedsięwzięciem łupnę sobie kieliszek i nigdy nie spudłuję. Zawsze mam, co chcę.
— A przed ślubem, to sąsiad też piłeś?
— Wtedy to mnie spojono, nadto trochę, no i wpadłem...
— Jak i Mateusz?...
— Ba! tego to natrzeźwo do ślubu wiedli i też wpadł...
— A wasan co do rybki admirujesz?
— Ja nie pijam...
— Toś nie żonaty?
— Niestety, Bóg nie ustrzegł.
— Ciszej tam panowie!
— I nie zapalaj pan teraz papierosa...
— Dziki poczują?
— Nie, ale spirytus! Andrzej eksploduje!
Zasypana śniegiem, na małej polanie, rozłożyła się karawana sań. Wydobyte z futerałów, na świat zimowy spoglądać zaczęły czarne ślepia luf, a ludzi wchłaniać zaczęła kolejno w siebie śniegiem zasłana knieja.

* * *

Zwietrzyły człowieka, który ich pierścieniem tyraljery opasał. Stado rozłożone luźnie, zaalarmowane przestrogą, którą im przyniósł ślizgający się przez zagajnik wiatr, poderwało się na nogi, zbiło w gromadę i niespokojnie opuściwszy łby, czekało dalszego alarmu...
Nadbiegł od Niewiadomego wyraźny teraz już zupełnie zapach człowieka, wielu ludzi i połączył się z głosem krzykliwym, nieznośnym. Żaden mieszkaniec puszczy tak złowrogo nie woła. Nawet głos wilczy, przeciągły, nic dobrego nie wróżący nie stanowi dla dziczego ucha takiego dysonansu.
Ruszyły więc ławą otrząsając śnieg z pni i gałęzi, głucho gdzieś w głębi gardzieli chrobotając. Szły w stronę przeciwną od głosów człowieka, co płoszył ptaki i hukał po kniei niemile. Na polance w rozsypkę i galopem, a potem przez kolumnowy las, jak komu wygodniej. Lochy stare z odyńcem przodem, bokami młódź.
Ale tu na nie czekała zdrada...
Łomot wystrzału rozpętał piekło. Ucichły, rozsypały się nieprzytomne, przez zaspy i gałęzie, poduchy śniegu i łom.
Byle naprzełaj!

* * *

Odtrąbiono nagonkę i ucichł znowu las.
Pojedyncze głosy człowieka, rozdrgane od emocji, padały zwięźle i krótko:
— Gdzie on jest?
— O tam w gąszczarach...
— Padł odrazu?
— Nie — szedł jeszcze, ale gotów.
— Jest, jest!
Ale to nie był on, to nie był „Wujko“! Prawda, że potężny, ale z tamtym się porównać nie może. „Wujko“ poszedł bokiem, poznano to po śladzie...
— Ach! stary chytriec!

— — — — — — — — — — — —

I żyje po dziś dzień, we dnie śpiąc w śniegowiskach, nocami ryjąc oziminy, potężny odyniec — samotnik.
Feliks Dangel.

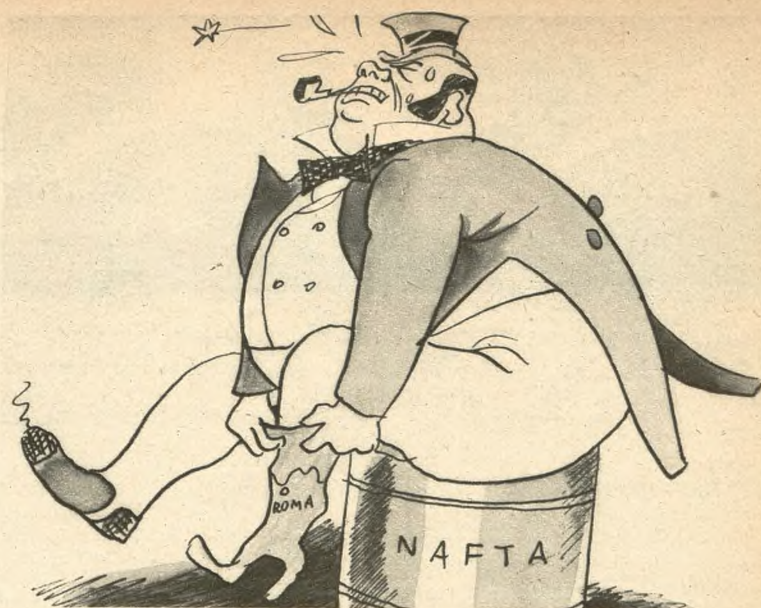
AKTUALNA SATYRA POLITYCZNA



Angielski Mikołaj: Dla grzecznych dzieci mam zabawki, dla niegrzecznych rózeczkę.
Kladderadatsch (Niemcy).



Ojciec Laval i niesforne dzieci.
LU (Francja).



But, który gniecie John Bulla.
„Światowid" — Rys. Charlie (Kraków).



Cyrk „Liga Narodów".
Kladderadatsch (Niemcy).



Niemiecki sprzedawca uliczny do anioła pokoju: Ta maseczka przydałaby się pani na karnawał.
Il Travaso (Włochy).



Z NARTAMI NA ŚWIĘTA!

Humoreska świąteczna.

Przypominam sobie zeszłoroczne Święta. To była jedna wielka męka. Ciągle na cenzurowanem. Naprzód przyszła ciocia Femcia. Weszła do pokoju i pociągnęła nosem.

— Blondynka... miła, co... ale perfumy nieszczególne, mógłbyś zmienić sferę twoich zainteresowań erotycznych.

Ciocia Femcia usiadła na kanapie. Patrzy ciekawie na kredens.

— Co, pijesz jak zwykle... mógłbyś przestać... w twoim wieku. Herkulesem nie jesteś...

Potem przyszedł mój szwagier Kajtuś. Usiedli razem z ciocią Femcią i popijając wino życzyli mi wszystkiego najlepszego.

— Najlepiejby było, żeby tego Zdzisia wyrzucili z biura. Jakby zaznał nędzy, toby się ustatkował.

— Święta racja — przytaknęła ciocia Femcia — ale słuchaj Zdzisiu, skąd ty bierzesz pieniądze na te coraz to nowe ubrania?

Szwagier parsknął śmiechem.

— To ubranie kosztuje go złoty dziesięć — pięć blankietów wekslowych po 22 grosze.

Potem przyszło moich dwóch kolegów. Chór potępiający mnie powiększył się. Jeden z kolegów zawyrokował:

— Wiesz Zdzisiu, ty się powinieneś ożenić...

— Ktoby go chciał — powiedział uprzejmie drugi.

Nastrój stawał się coraz weselszy. Dwaj koledzy wypili ze sobą „bruderszaft" mojem winem; to tak jakby dwie pchły piły „bruderszaft" moją krwią. Niech im tam...

Ciocia Femcia poszła do kuchni zrobić wywiad ze służącą na temat, kiedy wracam do domu i kto mnie odprowadza.

Towarzystwo powiększało się. Coraz więcej rodziny. Siostrzeniec Witek rozbił mi szybę w oknie. Jego matka powiedziała czule.

— A niech sobie używa chłopak póki młody, raz się żyje!

Przewrócili mi cały dom do góry nogami. Potem cała rodzina wraz ze znajomymi odbyli sąd ostateczny nade mną, i po wspólnej naradzie doszli do wniosku, że jestem zgubiony. A kiedy wychodzili — każdy przystępował do mnie i całując mnie w oba policzki mówił z nutą serdeczną:

— Radzę ci po przyjacielsku, wiesz jak ci dobrze życzę — zerwij z tą rudą małpą... I przestań pić... i nie zaciągaj długów...

Następny miał informacje z innego źródła.

— Słuchaj — zerwij nareszcie z tą grubą blondynką. To nie dla ciebie!

Szwagier, któremu dwoiło się w oczach, odszedł mocno zaniepokojony.

— Słuchaj, radzę ci — przestań romansować z temi siostrami sjamskiemi. Ty tej miłości ku jednej nie potrafisz długo ukrywać przed drugą...

Wreszcie zostałem sam. Sam na gruzach mieszkania i wszelkich pięknych złudzeń życiowych.

W tym roku jestem mądrzejszy. Przybiłem na drzwiach tablicę: „Wyjechałem, uwaga: został pies". Wyjechałem do Zakopanego. Uciekam przed plotkami, przed rodziną, przed kolegami. Tam mnie nikt nie zna. Jest tylko śnieg, narty, sporty, góry. Wogóle rozkosz bezwzględnego odpoczynku. Nareszcie sam.



Tego roku dopisał śnieg na Podhalu. Gdzie okiem rzucić wszędzie biało...



Na śnieżnym szlaku zapomina narciarz o kłopotach dnia powszedniego i zachwyca się królestwem zimy.

Wiener Photo Kurier, Wien.



Krakowianie wyjeżdżają chętnie w okresie świąt Bożego Narodzenia do Ojcowa (na zdjęciu) na narty. Wycieczka to niedroga i piękna.

Fot. Feliks Nowicki Kraków.

Wsiadam do pociągu. W marzeniach mam już przypięte narty u nóg, a skrzydła u ramion.

Przed Skawiną do przedziału wchodzi ciocia Femcia. Pociągnęła nosem.

— Znowu te same perfumy. Ty mnie zabijesz temi znajomościami z tych okropnych sfer. Widzisz, pragnę nareszcie spędzić sama święta. Jadę do Zakopanego.

Po chwili wtoczył się do przedziału szwagier. Spojrzał na mnie:

— Co tam twoja sjamska piękność? Czy wie już, że ją zdradzasz z jej siostrą?

A kiedy do przedziału wszedł siostrzeniec Witek i wybił szybę — pociągnąłem za rączkę hamulca bezpieczeństwa. Pociąg zatrzymał się. Wyskoczyłem i pobiegłem na przełaj. Zatrzymałem się w jakiejś chacie. Postanowiłem tu spędzić święta w samotności.

Po godzinie do chaty weszli moi dwaj koledzy.

— Góra z górą się nie zejdzie — zawołali — jak to dobrze — my tu też spędzimy Święta. Porozmawiamy sobie dyskretnie o twoich sprawach... Powiedz nam właściwie, dlaczego ty nie zrywasz z tą grubą blondynką?...

Zbigniew Grotowski.



Sanki góralskie, atrakcja dla gości, spędzających święta u stóp Giewontu.

Ag. Fot. „Światowid".



Rojno i gwarno jest w Zakopanem w czasie świąt Bożego Narodzenia. Rozpoczyna się bowiem wtedy sezon zimowy, dzwonią sanki po ulicach a narciarze wyruszają w góry.

Ag. Fot. „Światowid".



GWIAZDKA WŁOSKA DLA POLSKI W R. 1918.

Gdy orlęta lwowskie broczyły krwią w obronie swego ojczystego miasta, wtedy w grudniu mknęły ku Polsce z odsieczą dla miasta Lwowa ciężkie działa oblężnicze, pierwsza broń, jaka przybyła do Polski z zwycięskich krajów koalicji! Na ziemi włoskiej postała wówczas również 37-mio tysięczna armja, gotowa ruszyć do kraju, skoro tylko dyplomacja otworzy swe rogatki na drogach, wiodących do Polski. W grudniu 1918 r. istniały już dwa obozy Armji Polskiej we Włoszech, jeden w dawnej hannibalowskiej Capui (St. Maria Vetere) pod Neapolem, drugi w La Mandria di Chivasso pod Turynem. W St. Maria gotowe były do odjazdu



Jeńcy Polacy z armji autrjackiej, wzięci do niewoli przez Włochów, którzy stanowili pierwsze kadry armji polskiej we Włoszech. Zdjęcie z okresu Bożego Narodzenia 1918 r.



Zaprzysiężenie oficerów armji polskiej we Włoszech w St. Maria przez dowódcę kpt. Marjana Dienst-Dąbrowę. Zdjęcie z grudnia 1918 r.



Pierwsza defilada armji polskiej we Włoszech w St. Maria przed delegatem Komitetu Narodowego w Rzymie K. Skirmuntem, mjr. L. Radziwiłłem, kpt. włoskim Paolozzi'm, kpt. francuskim Boalisle, delegatami misji wojskowej polsko-francuskiej w Italji.

pułki im. Henryka Dąbrowskiego, obecnie 53 p. piech., pułk 42-gi ks. Józefa Poniatowskiego oraz pułk im. Naczelnika Tadeusza Kościuszki. Dnia 15 grudnia niżej podpisany zdał komendę obozu w St. Maria obecnemu komandorowi marynarki Czesławowi Petelencowi, a sam otrzymał rozkaz organizacji i objęcia dowództwa drugiego obozu w La Mandria di Chivasso.

Ze wszystkich stron Włoch napływały pociągi z b. jeńcami, zgłaszającymi się do armji polskiej. W tym samym zaś czasie naród włoski i państwo italskie składały dowody bezinteresownej przyjaźni i pomocy dla naszego narodu. Z licznych dowodów i dokumentów najszlachetniejszych uczuć Italji wobec Polski przytoczę epizod następujący:

Kiedy w czasie świąt Bożego Narodzenia przejeżdżał przez miasto Turyn prez. Wilson, ludność tegoż miasta urządziła twórcy 13-go punktu traktatu wersalskiego manifesacyjną owację.

Przyjazd Wilsona i jego postój nie był zapowiedziany i dopiero na drugi dzień dowiedziałem się z gazet, iż na urządzonej w ratuszu akademji zjawiła się grupa poważnych obywateli włoskich z sztandarem polskim. Przewodniczący tej delegacji komitetu „Pro Polonja", wręczył w auli uniwersyteckiej Wilsonowi proklamację, domagającą się w wymownych słowach wskrzeszenia i zjednoczenia państwa polskiego w historycznych jego granicach. Wilson, zaskoczony tą turyńską proklamacją, odpowiedział, „iż rycerski naród polski otrzyma wszelkie warunki odpowiednie do utworzenia potężnego państwa". Tę enuncjację Wilsona zanotowały wówczas wszystkie dzienniki włoskie.

Dowiedziawszy się o nazwisku prezesa komitetu „Pro Polonia", adwokata Attilia Begey'a (późniejszego konsula honorowego R. P. w Turynie, dziś już nie żyjącego), udałem się do niego na via Milano 20 wraz z kapitanem Karolem Kowańcem i adjutantem Adamem Miszke. U progu przywitał mnie w polskim języku szlachetny starzec słowami: „Ach, jak ja się cieszę, iż dożyłem tej chwili, o której marzył nasz kochany wieszcz, przyjaciel Mazziniego i Cavoura, Adam Mickiewicz, że zobaczyłem na włoskiej ziemi polskich oficerów. Szczęśliwy jestem, iż mogę coś dla Polski zrobić, krzewiąc wśród Włochów kult i miłość dla Mickiewicza i Towiańskiego, przewodników ludzkości". Ze wzruszeniem i łzą w oku przedstawił nam pięknie haftowany przez jego córkę sztandar z orłem białym, który wczoraj niósł udając się z delegacją do Wilsona. W odpowiedzi szczeremu przyjacielowi Polski, który na dziełach Mickiewicza nauczył się naszego języka, zameldowałem, iż pierwszy pułk, sformowany na ziemi piemonckiej, będzie miał imię Adama Mickiewicza, a sztandar konsula Begey'a będzie pierwszym sztandarem tego pułku. Dotrzymałem słowa. W miesiąc później przedefilował przed konsulem Begey'em, dowódcą korpusu turyńskiego gen. Etną, oraz szefem misji wojskowej polsko-francuskiej ks. Leonem Radziwiłłem pułk Adama Mickiewicza na ćwiczebnem polu w La Mandrii. Pułk ten dziś ma numerację 52-gą i stacjonuje w Złoczowie.

Marjan Dienstl-Dąbrowa,
ppłk. rezerwy.

INDYKI I... ŚWIĘTA.

W okresie świąt Bożego Narodzenia największe niebezpieczeństwo zagraża indykom na wyspach Brytyjskich. Ptak ten jest tam bowiem ulubioną potrawą, pojawiającą się na stole każdego Anglika w dniu Bożego Narodzenia. Dziesiątki tysięcy indyków oddają też w grudniu swą głowę pod nóż, aby tradycji stało się zadość.

U nas ilość indyków także przed Bożem Narodzeniem mocno zmniejsza się, ale większość tych ptaków pozostaje przy życiu i chodzi sobie po śniegu, wyczekując z upragnieniem wiosny i ciesząc się, że w Polsce wigilijną potrawą jest karp a nie indyk.

Ag. Fot. „Światowid".



PÓŁ ABISYNJI POD CHOINKĄ.

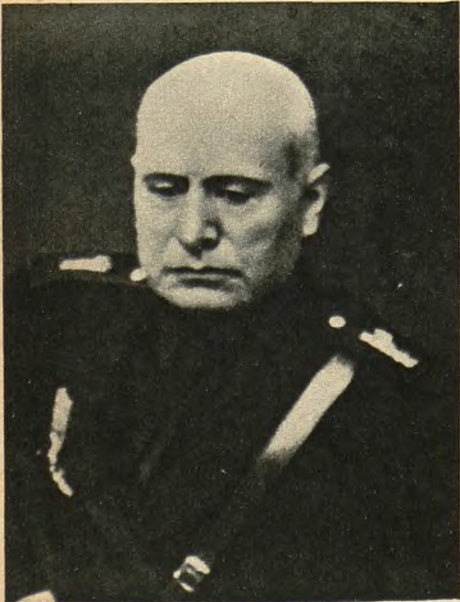


Fragment procesji ku czci Marji z Syjonu w Aksum. Miasto to w myśl propozycji Anglji i Francji ma pozostać przy Abisynji.
Fot. Roman Fajans — Asmara.

Najwspanialszy prezent noworoczny otrzymał dyktator Włoch Benito Mussolini. Podłożono mu bowiem pod choinkę pół Abisynji, zaklinając na wszystkie świętości, aby przyjął ten podarunek i... zaprzestał ognia. Propozycje te wyszły ze strony Anglji i Francji i obecnie są przedmiotem narad w Lidze Narodów, która ma ciężki orzech na święta do zgryzienia, bo negus nie chce ani słyszeć o wyrzeczeniu się kilku prowincyj swego państwa na rzecz odwiecznego wroga.

W dyplomacji jednak nie należy brać nigdy dosłownie tego co ludzie mówią, czem grożą i czem straszą. „*Nie*" bowiem często oznacza: „*tak*", w każdym razie zaś: *może*.

To jednak jest tylko pewne, że wbrew powszechnym przewidywaniom Mussolini z imprezy abisyńskiej wychodzi obronną ręką, bogatszy o jedno więcej zwycięstwo.



Benito Mussolini, w którego rękach znajdują się losy pokoju i wojny.
Ag. Trampus — Paris.



Msza dziękczynna na froncie abisyńskim po zdobyciu Makalle.
Ag. Presse-Photo, Berlin

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO".

O godz. 10-ej rano współpracownicy Koncernu „I. K. C." wysłuchali uroczystej Sumy w kościele parafjalnym św. Mikołaja, odprawionej przez ks. proboszcza dr. Gołąba, który wygłosił okolicznościowe kazanie.

W XXV ROCZNICĘ ZAŁOŻENIA
ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO
NA CZEŚĆ
MARJANA DĄBROWSKIEGO
TWÓRCY ZAŁOŻYCIELA I KIEROWNIKA
TEGO WARSZTATU PRACY
KUŹNI MYŚLI SPOŁECZNEJ
DLA UCZCZENIA
XXXV ROCZNICY
JEGO DZIAŁALNOŚCI PUBLICYSTYCZNEJ
WMUROWUJĄ TĘ TABLICĘ
WSPÓŁPRACOWNICY

Tablica pamiątkowa ku czci red. Marjana Dąbrowskiego, założyciela „I. K. C." ufundowana przez jego współpracowników, wmurowana w krużganku II-piętra „Pałacu Prasy".

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID"



Fragment uroczystości jubileuszowych „I. K. C." w Krakowie w „Pałacu Prasy". Na zdjęciu moment przemówienia red. Ludwika Szczepańskiego (pierwszy od prawej na schodach pod zegarem). W pośrodku pod zegarem widoczny red. Marjan Dąbrowski (pierwszy od lewej). U dołu w kole: Red. Marjan Dąbrowski.

Dnia 15 b. m. największy dziennik polski „Ilustrowany Kuryer Codzienny" obchodził 25-lecie swego istnienia, zarazem zaś jego założyciel, wydawca i redaktor naczelny p. Marjan Dąbrowski święcił 35-lecie swej pracy dziennikarskiej. Uroczystość, zakrojona pierwotnie na rozmiary domowej, przybrała szersze kręgi dzięki udziałowi szerokich sfer społeczeństwa.

Pierwszy numer tego pisma ukazał się w Krakowie dnia 17 grudnia 1910 r. i z miejsca zdobył sobie popularność w całym kraju, jako dziennik żywo redagowany, wyczuwający dolę i niedolę społeczeństwa i nawskroś nowoczesny. Z biegiem czasu Kuryer rozrasta się, powiększa swoją objętość, przedostaje się zza kordony, a służąc wiernie idei Niepodległości Polski staje się pismem bojowem, niewygodnem dla okupantów. W czasie wojny światowej świeci też „I. K. C." białemi plamami, a nawet dwukrotnie zostaje wydawnictwo to zawieszone.

Przychodzi listopad 1918 r. i dzień wyzwoleń. Kraków pierwszy zrzuca jarzmo niewoli, dnia 11 listopada Warszawa pozbywa się także okupantów. „I. K. C." walczy teraz o zjednoczenie ziem polskich i o zjednoczenie serc polskich, zatrutych jadem dzielnicowości. Potężny jego głos jest słuchany w całej Polsce, jako dziennika najbardziej wpływowego.

W 1924 r. ukazuje się pierwszy numer „Światowida", syna pierworodnego „I. K. C.". W 1927 r. „I. K. C." wprowadza się do nowego gmachu, „Pałacu Prasy", przy ul. Wielopole L. 1, zamieniając się na potężny koncern, do którego wchodzą następujące tygodniki i pisma: „Na szerokim świecie", „Wróble na dachu", „Raz, Dwa, Trzy", „As", „Tempo Dnia" oraz „Kalendarz IKC". Ten żywiołowy rozwój koncernu „I. K. C." nie jest czemś przypadkowem, ale rezultatem sprawności redakcyjnej, wyczucia aktualności, postępu technicznego i sprawiedliwości społecznej, którą „I. K. C." zawsze reprezentował i reprezentuje, tępiąc co złe i wskazując drogi ku naprawie. Niespożyta energja naczelnego redaktora Marjana Dąbrowskiego, objawiająca się w nadawaniu ogólnego kierownictwa poszczególnym pismom, położyła mocne podwaliny pod budowę Koncernu „I. K. C.", którego filarami są dwaj dyrektorzy administracyjni Kazimierz i Mieczysław Dobijowie.

Uroczystości jubileuszowe „I. K. C." rozpoczęły się nabożeństwem w kościele św. Mikołaja, które odprawił ks. proboszcz dr. Gołąb. Następnie współpracownicy „I. K. C." udali się do „Pałacu Prasy" odświętnie ustrojonego.

Jako pierwszy przemówił red. Ludwik Szczepański, życząc powodzenia na przyszłość, a po nim radca Noel w imieniu Administracji, wiceprezydent m. Krakowa dr. Klimecki w imieniu Prezydjum m. Krakowa, prof. dr. Pachoński w imieniu Związku Uczestników Oswobodzenia Krakowa, oraz szereg przedstawicieli poszczególnych działów technicznych Koncernu „I. K. C.". Gratulacje imieniem Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich złożył jego prezes red. dr. Józef Flach, zaś imieniem naczelnej organizacji dziennikarstwa polskiego wiceprezes Związku Dziennikarzy R. P. red. Witold Giełżyński. Gratulantom odpowiedział wzruszony red. Marjan Dąbrowski. Z całej Polski oraz zagranicy nadeszło mnóstwo telegramów gratulacyjnych.

W południe redaktor Dąbrowski z małżonką i córką podejmował swoich współpracowników śniadaniem w salach redakcyjnych „I. K. C.".

AMNESTJA NA GWIAZDKĘ.



Gdy do króla greckiego Jerzego II przybyła delegacja, oznajmiająca mu, że cały naród żąda jego powrotu do Aten, król odpowiedział jej:

„Obdarzcie mnie zaufaniem i wiarą, w przeciwnym bowiem razie odejdę po to, aby już nigdy nie powrócić".

W słowach tych streszcza się cały program króla Jerzego II, polegający na zjednoczeniu narodu, zdobyciu jego zaufania i zapomnieniu o tem, co dzieliło i jątrzyło.

Po powrocie na ziemię helleńską król podpisał więc przedewszystkiem amnestję, przywracającą w o l n o ś ć wszystkim więźniom politycznym. Otworzyły się bramy więzień, w których przebywało zgórą 500 wyższych oficerów i dygnitarzy państwowych, skazanych przeważnie na bezterminowe więzienie. Dzięki wspaniałomyślności króla skazańcy ci otrzymali na gwiazdkę naprawdę królewski prezent, bo wolność. Na zdjęciu grupa przestępców politycznych z b. prezydentem senatu Ponotosem (w pośrodku) za kratami więzienia w Oropos, w okolicy Aten, na chwilę przed wypuszczeniem ich na mocy dekretu amnestyjnego.

France-Presse — Paris.

RZĄD NIEMIECKI Z PUSZKĄ.

Berlin, w grudniu.

— Chce pan zobaczyć rząd niemiecki „in corpore"? — spytałem mojego znajomego, który przyjechał z Warszawy.

— Tak, ale ja nie mam zaproszenia na to przyjęcie... a pozatem nie zabrałem fraka do walizki — wyjąkał zdetonowany turysta.

— Nie potrzeba. Niech pan bierze do kieszeni parę marek i jedziemy.

* * *

Premjer Göring, uśmiechnięty i różowy od lekkiego przymrozku, potrząsa energicznie puszką przed słynnym hotelem berlińskim „Adlon". Tłoczy się do niego tłum ludzi, rzucających grosze do puszki. Trzaskają aparaty kinooperatorów i fotoreporterów. Min. Goebbels jest także oblężony.

Co to? Dzień 7-ego grudnia, „dzień solidarności narodowej" (Tag der nationalen Solidarität). Zbiórka na pomoc zimową dla bezrobotnych.

Pani premjerowa, a raczej pani Goering, zbiera przed gmachem Beroliny na Alexanderplatzu. Zdala od swego męża. Pani Goebbels już bliżej, bo przy Columbushaus przy Potsdamerstrasse. Min. Frick przykładnie spaceruje ze swoją małżonką na Wittenbergplatz, a raczej walczy z naporem ludzkiej czerni. Słynny dr Schadt zbiera w swoim rejonie: przed giełdą. Przed radjem potrząsa puszką dyktator radjowy Hadamovsky, który niedawno uśmiercił jazz-band w radjo niemieckiem. Ambasador von Ribbentrop zbiera jak przystało przed Palast Café Fürstenhof.

Można oglądać wszystkich ministrów poza ministrem dla spraw rolnictwa Darrém, który zbiera w ten dzień w stolicy chłopstwa niemieckiego, w mieście kongresowem włościan, Goslarze — można zobaczyć wszystkich wielkich ludzi partji: Himmlera, von Jagowa, Rosenberga, Hünleina i Baldura von Schiracha.

Można ujrzeć na własne oczy sławy ekranu: oto Walter Rilla, Schlettow, Lil Dagover (jakże się doskonale trzyma ta kobieta), Hans Stuewe, Henny Porten (co, ona jeszcze żyje?), Maria Paudler i tuzin innych

Po raz pierwszy bodaj w dziejach zbiórki uczyniono ją czemś atrakcyjnem. Ludzie sami tłoczą się do puszek.

* * *

— Ile pana kosztowało ujrzenia rządu „in corpore"? — pytam znajomego po objeździe.

— Trzy bilety autobusowe i dwie marki. Tanio.

* * *

Zbiórka w dniu solidarności narodowej przyniosła netto 3.700.000 marek, a więc blisko 300.000 marek więcej aniżeli w ubiegłym roku. **Zbigniew Grabowski.**



Prezydent Banku Rzeszy dr. Schacht, dyrektor gospodarczy Niemiec, zbierający na „pomoc zimową" przed gmachem giełdy w Berlinie. Presse-Photo — Berlin



Prezydent ministrów, gen. Goering patronuje puszce przed hotelem „Adlon" w Berlinie. R. Sennecke — Berlin

MODA I SZTUKA

Był czas, kiedy moda i sztuka szły obok siebie równolegle — i wtedy powstała wspaniała rzeźba antyczna.

Epoka renesansu znalazła wierne odzwierciedlenie w malarstwie.

Wystarczy wspomnieć te dwa przykłady, aby stwierdzić, że moda i sztuka wspomagają się wzajemnie, wywierają na siebie wybitny wpływ, a tracą wiele głębszych inspiracyj, jeżeli odwrócą się na jakiś czas od siebie.

Nie wyszło na dobre modzie i sztukom plastycznym, że w okresie powojennym poszły odrębnemi drogami. Ubiory kobiece stworzyły monotonny szablon, których wypaczona prostota walczyła o pierwszeństwo z nudą, opanowującą konfekcję damską. A malarstwo i rzeźba odwróciły się poprostu plecami do takich, niepociągających fantazji twórczej, tematów.

Dziś rzecz przedstawia się zupełnie odmiennie. Obie dziedziny poczyniły pewne ustępstwa. Moda zaczęła dbać o malowniczość kształtów i linji, a plastyka idzie jej w pomoc przy tworzeniu modeli, biorąc zarazem za żywy model, w malarstwie czy rzeźbie, kobietę w pięknych zwojach materjałów, umiejętnie modelowanych na wysmukłej sylwetce.

Zwłaszcza suknie wieczorowe i balowe kryją w sobie niewyczerpane inspiracje sztuk plastycznych. Długie, interesująco falowane, wykonywane z materjałów o artystycznym układzie fałd i załamań, suknie te to żywa harmonja kształtów i kolorów. Odkąd jeszcze z inspiracjami wschodniemi przyszły szalowe narzutki na głowę i zamiast cape'ów luźne kawałki materjałów, jako okrycie mocno dekoltowanych tualet, możliwości współdziałania mody i sztuki wzrosły wielokrotnie.

Podnosi je struktura nowoczesnych materjałów, układających się w przepiękne fale i spływających naturalnym rzutem w harmonijne, samodzielnie powstające fałdy.

Zet.

Modelowana suknia balowa i narzutka z gronostajów o oryginalnym kołnierzu.



Suknia z czerwonej georgetty, przybrana złotą skórą na pas i manszety.

Na prawo: Narzutka z velour-chiffon, przybrana gronostajami.



Drobniutko plisowana gaza i gazowy szal, to najmodniejsza suknia balowa.

sztuka i film



HENRY LUISE FEATURED

pełna niewysłowionego uroku artystka filmowa, przy choince.

„PETER IBBETSON“



Scena z natchnionego filmu „Paramount“ pt. „Peter Ibbetson“, w którym występują Gary Cooper, Ann Harding, i Ida Lupino.
Fot. „PARAMOUNT“.



Gary Cooper i Ann Harding, bohaterowie przepięknego filmu „Paramount'u“ pt. „Peter Ibbetson“. Zdaniem prasy zagranicznej jest to jeden z najpiękniejszych obrazów, jakie kiedykolwiek ukazały się na ekranach.
Fot. „PARAMOUNT“.

Czytajcie „Asa“

„ARMJA EWY“



W filmie tym zobaczymy Williama Powella — najelegantszego amerykańskiego gwiazdora filmowego, w roli wesołego oszusta na wielką skalę. „Armja Ewy“ jest jedną z najbardziej zajmujących i najwspanialej wystawionych komedyj ostatniego roku. Pomysłowa inscenizacja, nad wyraz ciekawy i nowy w pomyśle scenarjusz, opowiadający o sensacyjnych przygodach „piratów mody“, niebywale wystawiona rewja strusich piór, pokazy najnowszych tualet, a przedewszystkiem koncertowa gra Williama Powella i Betty Davis — oto zalety filmu „Armja Ewy“, który już niebawem wyświetlany będzie w Polsce.

Fot. „WARNER BROS FIRST NATIONAL“.

„SZEŚĆ LAT MIŁOŚCI".



Claudette Colbert odniosła wielki sukces w filmie „Columbii" p. t. „6 lat miłości"

Fot. „SFINKS".

„BURZA NAD ŚWIATEM"



Cesarz Franciszek Józef I. na ślubie arcyksięcia Karola w Schönbrunnie w r. 1913 rozmawia z księżniczką Hohenberg z domu hr. Hotek, żoną następcy tronu, Franciszka Ferdynanda. Scena z wielkiej epopei narodów, największego widowiska filmowego wszystkich czasów p. t. „Burza nad światem". Dnia 16 b. m. odbyła się uroczysta premjera tego filmu w stolicy.

Wytw. „FOX-FILM"

Wytwórnia Fox dokonała rewelacyjnego dzieła, realizując wielkie widowisko filmowe „Burza nad światem". Film ten jest dlatego oryginalny i nieprzeciętny, że przy jego wykonaniu wykorzystano w bardzo poważnym stopniu nietylko doświadczenia lat ubiegłych, lecz w pierwszym rzędzie zajrzano do archiwów i wydobyto stamtąd rewelacyjne zdjęcia wszystkich wydarzeń ostatnich 30-tu lat, przedewszystkiem zaś z okresu wojny światowej. Pokazano przygotowania do tej wojny, nastroje przedwojenne, życie na dworach królewskich, słowem, oddano wiernie całą epokę, która poprzedziła wybuch wielkiej wojny. Następnie wydobyto z tajnych archiwów wojennych dotąd skrzętnie ukrywane zdjęcia walk na wszystkich frontach, na lądzie, morzu i w powietrzu. Są to zdjęcia jakże wymowne, wstrząsające w swej grozie, których dotąd nie oglądało oko ludzkie.

Odżywają na ekranie postacie wodzów walczących armij, sceny tragicznych zmagań na froncie zachodnim pod Verdun, nad Sommą, Marną. Widzimy zniszczenia wojenne w Belgji i we Francji, pola bitew w Galicji i w Prusach Wschodnich. Każdy metr tego filmu, to bezcenny dokument historyczny, cały zaś film jest wspaniałą historją wielkiej wojny — historją, która mówi więcej od setek prac naukowych i tysięcy artykułów. Film ten, opowiadając nam z całą bezstronnością i prawdziwością o dziejach Europy w ciągu ostatnich 30-tu lat, odsłania nam jednocześnie nową twarz Europy obecnej. „Burza nad światem" jest filmem z komentarzami, mówionymi po polsku.

„MELODJA WIELKIEGO MIASTA"



Robert Taylor gra główną rolę męską w świetnym filmie wytwórni „Metro" p. t. „Melodja wielkiego miasta". Główną rolę kobiecą w tym niezwykle ciekawym obrazie filmowym kreuje Eleanor Powell.

Wytw. „METRO GOLDWYN MAYER".

ELEANOR POWELL — *sensacyjne odkrycie filmowe!*

Szóstka jest szczęśliwą liczbą nowej gwiazdy — Eleanor Powell!

Miała sześć lat, gdy zaczęła tańczyć.

Sześć lat temu przybyła do New Yorku nieśmiała, pełna nadziei.

Sześć miesięcy temu przybyła do Hollywood, by zademonstrować swe zdolności taneczne.

Szóstego sierpnia podpisała umowę z wytwórnią Metro-Goldwyn-Mayer.

Ale kto to jest właściwie Eleanor Powell?

Przyjechała do Hollywood, aby zagrać maleńką rólkę w innej wytwórni.

Po ukończeniu swej rólki wybierała się zpowrotem do New Yorku, gdzie występowała w rewji na Broadwayu. Powrót jej został powstrzymany przez ogłoszenie konkursu tanecznego wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer, celem wybrania odtwórczyni głównej roli w projektowanym wielkim filmie muzycznym „Melodja Wielkiego Miasta".

Eleanor postanowiła stanąć do konkursu. I wtedy rozstrzygnął się jej los.

Gdy w sali projekcyjnej na ekranie ukazała się nikomu nieznana sylwetka Eleanor Powell i jej bajeczne nogi, które dokonywały istnych cudów, na sali powstał szmer zachwytu.

Kim jest ta dziewczyna? — zapytał główny dyrektor Metro-Goldwyn-Mayer, p. Louis B. Mayer.

Odpowiedziano mu, że jest to tancerka nikomu nieznana, która przyjechała do Hollywood, aby zagrać maleńką rólkę w jakimś filmie.

„To będzie bohaterka naszego filmu" — brzmiała odpowiedź wielkiego potentata filmowego.

Postanowienie to wzbudziło zpoczątku zaniepokojenie wśród producentów filmowych. Było nieco ryzykownem angażować nową aktorkę, nikomu nieznaną, do wielkiego filmu, jakim miał być BROADWAY MELODY 1936.

Mayer jednak uporczywie trwał przy swem postanowieniu. Kazał zmienić jej fryzurę, zmienić jej charakteryzację, szukać odpowiedniego operatora, któryby potrafił ją najlepiej fotografować.

Stało się zadość woli wielkiego dyrektora. Kiedy na próbnym pokazie obrazu zebrała się elita Hollywoodu i ujrzała nową aktorkę na ekranie, okazało się, że Eleanor Powell nie zawiodła nadziei Meyera. Eleanor Powell po ukończeniu filmu MELODJA WIELKIEGO MIASTA zawarła długoletnią umowę z wytwórnią Metro-Goldwyn-Mayer.

HALINA BIERNACKA



MICHAŁ ZNICZ.

Michał Znicz jest bezsprzecznie jednym z najbardziej utalentowanych polskich artystów charakterystycznych. Każda jego kreacja, to majstersztyk gry aktorskiej, każda, najdrobniejsza nawet „gierka" — to skończone arcydzieło kunsztu aktorskiego. W każdym nowym filmie Znicz prezentuje nowe, wspaniałe próbki swego wielkiego talentu.

Dotychczas grywał Znicz role komedjowe; obecnie po raz pierwszy wystąpi w roli dramatycznej. Znakomity ten artysta został ostatnio zaangażowany do „Róży", trawestacji filmowej głośnego utworu Stefana Żeromskiego. W filmie tym odtworzy Znicz postać Anzelma — gorącego patrjoty, który zmuszony zostaje przez nikczemnego i cynicznego naczelnika ochrany do wydania towarzyszów-spiskowców, walczących o niepodległość Polski. Jest to b. trudna rola; ciekawe, jak Znicz ją pojmie i odegra na ekranie.

Zdjęcia plenerowe do „Róży" rozpoczną się w przyszłym tygodniu.

Jak wiadomo, reżyseruje ten film Józef Lejtes, a kierownikiem produkcji jest Marek Libkow.

Halina Biernacka, jedna z najlepszych tancerek Opery Warszawskiej, zadebiutuje wkrótce w jednym z filmów produkcji polskiej.

Wytw. LIBKOW-FILM

ZE ŚWIATA MUZYKI.

OSTATNI UCZEŃ MONIUSZKI W 65-LECIE PRACY MUZYCZNEJ.



Niezwykły jubileusz pracy dla sztuki muzycznej obchodzi ostatni z uczniów Stanisława Moniuszki — **Ludwik d'Arma Dietz.** Urodzony w Warszawie, tam też odbywał studja m. in. pod kierownictwem Stanisława Moniuszki. Jako laureat klasy skrzypcowej objął stanowisko koncertmistrza w Operze, poczem odbywał podróże artystyczne dla studjów do Francji i Włoch. Po powrocie do kraju długie lata spędza w Przemyślu, gdzie jako dyrektor artystyczny miejscowego Towarzystwa Muzycznego zdołał doprowadzić do wysokiego poziomu orkiestrę i chóry miejscowe. Jemu Przemyśl zawdzięcza pierwsze wykonania wielu dzieł Moniuszki, jak „Widma", kantata mitologiczna „Milda", opera „Verbum nobile" itd. Twórczość kompozytorska Dietza obejmuje niezliczoną ilość pieśni solowych, chóralnych, oraz drobniejszych utworów instrumentalnych. Liczne nagrody konkursów muzycznych, krajowych i zagranicznych, świadczą o poziomie tych kompozycji, mniej znanych szerszemu ogółowi, gdyż niewiele dotąd ukazało się w druku.

MIRIAM HOPKINS i G. P. HUNTLEY Jr.
W FILMIE „BECKY SHARP".



Scena z filmu „Becky Sharp".
Zdjęcia Wytw. „R. K. O. FILM".

Jest to wielki film amerykański wytw. R. K. O. Films w kolorach naturalnych systemu „Technicolor".



Miriam Hopkins.

Filmy morskie.

Marja Bogda, popularna bohaterka polskich filmów morskich.
Fot. Dorys, Warszawa

Morze... Najwspanialszy z żywiołów, urzekający swym niesamowitym urokiem awanturnicze duchy ludzkie — pociągający swą kapryśną naturą i zawartem w niej niebezpieczeństwem całe rzesze Kolumbów przeszłości i czasów teraźniejszych — żywioł, z którym współżyć mogą tylko dusze nieznające trwogi, a miłujące nadewszystko wolność...

Morze, które było zawsze ostatecznem i jedynem wybawieniem awanturników całego świata — ucieczką przed pościgiem sprawiedliwości ludzkiej, a częstokroć niesprawiedliwego gwałtu...

Morze — bezkres wód, które na swych mokrych pustyniach nosiły radości i bóle ludzkie — nadzieje i rozpacz — miłość zawiedzioną i żądzę przygód....

...Przewalają się olbrzymie fale z krańca do krańca świata — fosforyzują w blaskach oślepiającego słońca południa, lub anemicznego bliźniaka jego z północy... Mienią się w złocistych promieniach wszelkiemi kolorami tęczy, zachowując stale jeden ton zasadniczy: jasnego seledynu na północy i ciemnego błękitu pod zwrotnikami. Na tym ruchomym, niepewnym „gruncie" suną od zamierzchłych czasów łupiny łodzi, barek, wiosłowców, żaglowców, parowych transatlantyków... Kierują niemi maleńkie pyłki ludzkie, ginąc częstokroć w odmętach chłodnych, wzburzonych fal — podczas burz orkanowych i cyklonów...

Groźny żywioł jednak nie odstrasza odważnych i zdecydowanych na wszystko. Armje awanturników i korsarzy zmieniają się zczasem w karne, zdyscyplinowane flotylle handlowej i wojennej marynarki. Po wytkniętych na mapach szlakach morskich suną nieprzeliczone olbrzymy-okręty, stanowiąc podczas podróży pośród bezkresnych oceanów zupełnie dla siebie zamknięty świat, ze wszystkiemi jego troskami i radościami, intrygami i tragedjami — zamieszkującemi ludzkie serca...

— — — — — — — —

Jakiż to wdzięczny temat dla filmu! Przedewszystkiem sam żywioł morza — pełen wiecznie nieustannego ruchu, żywioł par excellence kinowy... jakże zarazem fotogeniczny! A potem te niezliczone tematy, jak awanturnicze przygody odkrywców nieznanych lądów, rozbójników morskich i piratów — dramatyczne historje przemytników, ginących przeważnie nienaturalną śmiercią z rąk członków konkurencyjnej bandy — dalej filmy podróżnicze, osnute na tle przygód awanturników, którym zaciasno było w swym własnym kraju, a którzy swemi wyprawami kładli podwaliny pod potęgę kolonjalną dzisiejszych mocarstw. Filmy morskie z życia marynarzy na wojennych okrętach, „państw morskich" — które dają poznać „nędznym" szczurom lądowym całe piękno i romantykę życia żeglarza, tego prawdziwego „pana bez ziemi" — włóczącego się na swym macierzystym statku od portu do portu, od przystani do przystani, od kontynentu do kontynentu...

— — — — — — — —

Mieliśmy tych filmów wiele i każdy z nich był dla nas nową niespodzianką czegoś nieznanego — jakiegoś tematu historycznego, jakiejś szalonej, romantycznej przygody, lub też pełnej awanturniczości wyprawy. Wielcy artyści filmowi stwarzali niezapomniane kreacje — sławni reżyserzy wysilali się na coraz to nowe pomysły i tricki. Że wspomnimy tu tylko parę filmów, jak: „Czarny pirat" z Douglasem Fairbanksem — dwie „bitwy pod Czuszimą", jedna nakręcona jeszcze w erze filmu niemego, a druga w erze dźwiękowca w wersji francuskiej p. t. „La Bataille" — pyszny „Kapitan Blood" z Olivią de Havilland w głównej roli kobiecej — wreszcie niezapomniana „Wyspa skarbów", w której słynny Wallace Beery stworzył wspaniałą kreację pirata-kaleki...

Polska filmja jest młoda. Ale i ona zdobyła się już prawie w początkach naszej Niepodległości na parę filmów morskich, gloryfikujących sinoniebieskawe wody polskiego Bałtyku. Wystarczy tylko wspomnieć o „Wietrze od morza" i obrazie p. t. „Pod banderą miłości" — w którym to filmie grała jedna z najmilszych naszych artystek ekranowych — Marja Bogda.

Morze pociąga realizatorów filmowych, którzy stwarzają coraz to lepsze obrazy w tej dziedzinie, siląc się na nowe pomysły i tematy, ujmując temat morza w coraz to innej formie. Albowiem od morza płynie ogromna sugestja, która anektuje wszystkie stęsknione za przestrzenią i owładnięte rządzą przygód dusze ludzkie. I tak będzie zawsze, póki żyć będzie w nas zdolność odczuwania jego nieśmiertelnego piękna i romantyczności.

A. C.



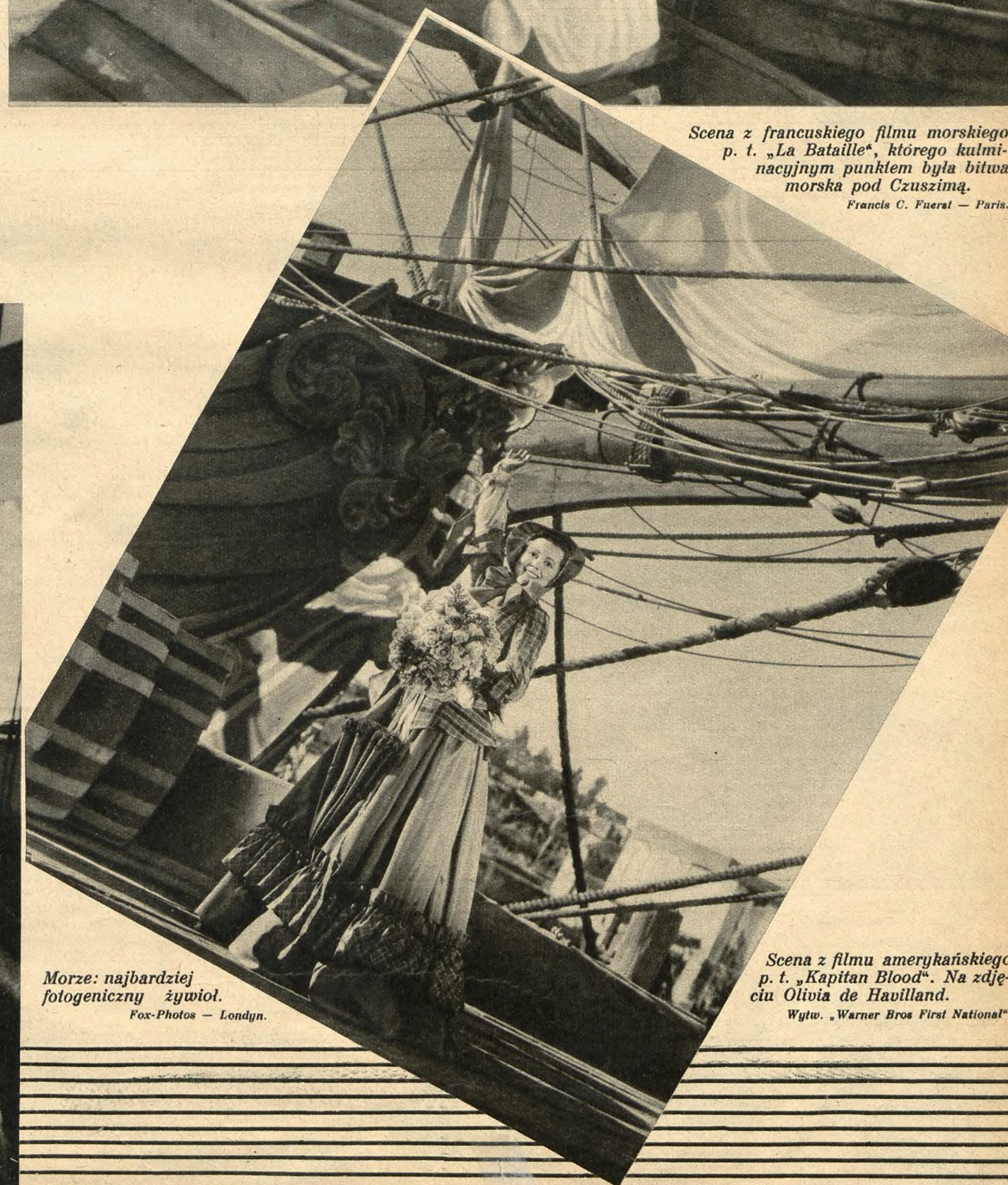
Scena z francuskiego filmu morskiego p. t. „La Bataille", którego kulminacyjnym punktem była bitwa morska pod Czuszimą.
Francis C. Fuerst — Paris.



Paweł Owerło doskonały w rolach wyższych oficerów marynarki polskiej. — Scena z filmu „Pod banderą miłości".
Wytw. „Zaf-Lux-Film".



Morze: najbardziej fotogeniczny żywioł.
Fox-Photos — Londyn.



Scena z filmu amerykańskiego p. t. „Kapitan Blood". Na zdjęciu Olivia de Havilland.
Wytw. „Warner Bros First National".



ZESPÓŁ TEATRALNY: *„Królewski Jedynak" z Trylogji Zygmuntowskiej Lucjana Rydla na scenie teatru białostockiego.*

TEATR WOJEWÓDZTWA BIAŁOSTOCKIEGO



Bronisława Gerson.
Foto „Sztuka" — Sosnowiec.



Zofja Müllerowa.
Fot. Rubinstein — Grodno.



Ewa Zygmundówna.
Fot. Rubinstein — Grodno.



Kazimiera Tarnowska.
Fot. Z. Zgórecki — Częstochowa.



Bronisław Lipski.
Fot. M. Bil — Warszawa.



Zygmunt Tokarski.
„Sztuka" — Częstochowa.

Od długiego szeregu lat kwestja dobrego teatru polskiego była bolączką nawpół kresowego województwa białostockiego.

Miasta tego województwa — z wyjątkiem może tylko Grodna — nie mają odpowiednich budynków teatralnych. Rekwizyty i dekoracje są przestarzałe, nadgryzione zębem czasu.

Polskie zespoły teatralne w swoich wędrówkach po Polsce zawadzały czasami o Białystok i Grodno, rzadziej już o inne miasta Białostoczyzny. Zespoły te niezawsze stały na odpowiednim poziomie.

Długo to trwało, aż samorządy poszczególnych miast województwa białostockiego doszły do przekonania, że do obowiązków ich należy również dbanie o kulturę teatralną i piecza nad rozwojem kultury polskiej na Kresach.

Przez pewien czas Białystok i Grodno, rywalizując ze sobą, miały dwa odrębne zespoły teatralne. Oczywiście ani magistrat białostocki, ani samorząd grodzieński nie mogły udzielać swoim teatrom odpowiedniej pomocy materjalnej. Odbijało się to zarówno na doborze sił aktorskich, jak i na dekoracjach i wystawie. Każde z tych miast gwoli zadowolenia ambicji lokalnej miało „własny" teatr, ale teatr suchotniczy, teatr z artystami, żyjącymi o głodzie i chłodzie.

Dopiero w obecnym nowym sezonie teatralnym pod naciskiem władz wojewódzkich i opinji publicznej zaszedł znamienny zwrot na lepsze.

Magistraty m. Białegostoku i Grodna zaangażowały wspólnie zespół teatralny, ustalając odpowiednią pomoc materjalną. Również pozostałe miasta, jak Suwałki, Augustów, Sokółki itd. przyłączyły się do tej akcji i w ten sposób powstał „Teatr Objazdowy Samorządów Województwa Białostockiego".

Dyrekcję teatru wojewódzkiego objął stary, znany aktor, Józef Grodnicki. Wspólna pomoc samorządów pozwoliła wyposażyć teatr w odpowiednie dekoracje i kostjumy, oraz zaangażować dobrych artystów. Kierownictwo literackie wziął w swe ręce Artur Horwath. Utalentowany dekorator St. Grabczyk tworzy istne cuda, olśniewając widzów, którzy dotychczas widzieli na scenach prowincjonalnych zazwyczaj tylko kilka starych, prawie nigdy nie zmienianych dekoracyj. Zdając sobie sprawę z ważnej misji kulturalnej teatru polskiego na Kresach, kierownictwo teatru objazdowego wystawiło na otwarcie sezonu dramat historyczny Lucjana Rydla „Królewski jedynak". Dalszy repertuar składa się zarówno ze sztuk klasycznych, jak i nowoczesnych: „Stare wino szumi", „Dom otwarty", „Krzyk", „Sezamie otwórz się" i t. d.



Józef Grodnicki, dyrektor Teatru Objazdowego Samorządów Województwa Białostockiego.
Fot. Rubinstein — Grodno.

Stworzenie przez samorządy wojew. białostockiego wspólnej polskiej placówki kulturalnej było krokiem bardzo doniosłym. Społeczeństwo ze swej strony, gorąco przyjmując nowy teatr, wykazało, że dobremu teatrowi zawsze gotowe jest udzielić swego poparcia.

J. Sz.



Aleksander Olędzki.



Kazimierz Vorbrodt.
Fot. Rabinstein — Grodno.



Włodzimierz Preiss.

KĄCIK KINO-AMATORA.

Najlepsza rozrywka na przyjęciach w domu.

„...Wczoraj byłem w oryginalnem kinie. Salka maleńka, publiczności najwyżej 20 osób i sami znajomi. Zato program doskonały: dowcipne komedje z Charlie Chaplinem, Harry Lloydem, Flipem i Flapem, aktualności listopadowe, Micky Mouse, film przyrodniczy. Program trwał 2 godziny, ale gdyby trwał 4 godziny, publiczność bawiłaby się równie wesoło, a przytem równie tanio, gdyż wstęp był bezpłatny".

Tak opowiadał mi p. K. A dodać muszę, że kino było w mieszkaniu jego przyjaciela, który w ten sposób uprzyjemnił swym gościom przyjęcie u siebie, wypożyczając z pobliskiego foto-składu aparat projekcyjny i filmy wypożyczalni Ciné „Kodak". Poza tem nabył on bardzo tani aparat do zdjęć kinowych Ciné „Kodak" Osiem i w przyszłości urozmaicać będzie programy swego kina domowego własnemi filmami.

Bardzo się zainteresowałem tą sprawą: za kilka dni będę miał przyjęcie u siebie, a jak się już poinformowałem, wypożyczenie filmów na 2-u godzinny program kosztuje tylko ok. 12 zł.

Miłośnik Kina.



Franciszka Mannówna w tańcu klasycznym. Fot. „VAN DYCK", Warszawa.

Sylwetki tancerek.

FRANCISZKA MANNÓWNA.

Pisałem dotychczas tylko o tancerkach z Teatru Wielkiego. Mogło to stworzyć jak najbardziej niesłuszne mniemanie, że po za tym teatrem nie mamy już nic tanecznie wartościowego. Nie dalej przecież, jak w ubiegłym roku aż trzy polskie zespoły taneczne po za Teatrem Wielkim wstąpiły w szranki wiedeńskiego międzynarodowego turnieju tanecznego i żaden nie wyszedł bez nagrody.

Rozglądając się bacznie w licznej plejadzie tancerek, pracujących po za sceną Teatru Wielkiego, zatrzymam się przy młodziutkiej jeszcze, bo zaledwie 18-letniej Franciszce Mannównie, odznaczonej jednak wiedeńskim laurem międzynarodowym. Zatrzymam się dlatego, że jest wśród znanych mi tancerek zpewnością najbardziej wszechstronną. Obce są jej spory „międzykierunkowe". Nie kruszy kopji o taniec nowoczesny, ani też nie atakuje go, broniąc klasycyzmu. Nie pogardza akrobatyką taneczną, pociągają ją nawet owe „tupanki", jakie często widzimy na filmach amerykańskich, czyli t. zw. „stepy".

Tak już rozgarnięta tanecznie, pomimo młodziutkiego wieku, odpowiada Franciszka Mannówna na moje zapytanie:

— Jestem tancerką i nic tanecznego nie jest mi obce. Wszystko, co może służyć jako środek wyrazistości tanecznej, staram się zgłębić, poznać i stosować w moich kompozycjach tanecznych.

Będąc już właściwie skończoną artystką tańca, Franciszka Mannówna postąpiła tak, jak czołowe laureatki konkursu wiedeńskiego: Ziuta Buczyńska i Paula Nireńska. Obie — po zdobyciu cennych odznaczeń międzynarodowych dopiero na dobre zaczęły pracować nad sobą, kształcąc się w zagranicznych akademjach tanecznych: Ziuta Buczyńska w Monachjum, a Paula Nireńska w Hellerau-Laxenburg pod Wiedniem. Mannówna nie miała możności wyjazdu zagranicę. Zato na miejscu, z podnieconą ambicją i rozbudzonym przez konkurs wiedeński zapałem, zabrała się ponownie do studjów tanecznych, aby jeszcze bardziej udoskonalić swe rozległe możliwości artystyczne.

Mannówna pracuje przez cały dzień. Swe umiejętności w dziedzinie tańca nowoczesnego nieustannie uzupełnia pod kierownictwem Ireny Prusickiej, swoje zdolności do tańca klasycznego rozwija pod batutą Zygmunta Dąbrowskiego, swe zamiłowanie do akrobatyki tanecznej kształci u Haliny Hulanickiej, wreszcie swój dryg do „tupanek" cyzeluje, opierając się na fachowych wskazówkach Haliny Biernackiej. Są to cztery najwybitniejsze nasze autorytety we wspomnianych odmianach tańca artystycznego.

Nieprzeciętny talent Mannówny przez takie wytrwałe szlifowanie nabiera coraz piękniejszego blasku, o czem, zresztą, przekonać się nietrudno, śledząc za występami publicznemi tej tak pięknie uzdolnionej tancerki. Najjaskrawiej uwypukla się to wszakże tam, gdzie trzeba ujawnić maximum temperamentu tanecznego i ognistej werwy. To też Mannówna najbardziej się podoba w wybuchowych hispanizmach tanecznych.

Odmiennie, niż większość tancerek, Franciszka Mannówna nie pochodzi z ludu, lecz ze sfery zamożnej inteligencji. Ojciec jej był cenionym przemysłowcem...

I znów — odmiennie, niż większość tancerek, nie spotyka żadnych przeszkód na drodze do karjery artystycznej.

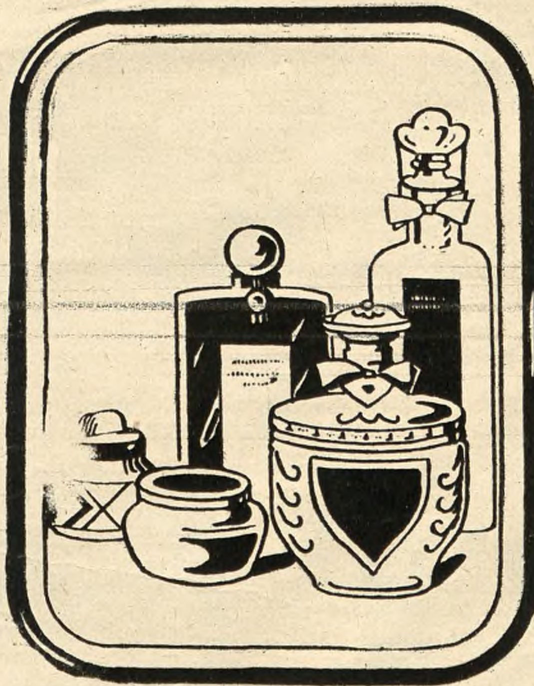
Jak mi opowiada — może raczej matka miewała niekiedy wątpliwości, czy należy usłuchać błagalnych próśb malutkiej jeszcze podówczas Franeczki i kształcić ją tanecznie. Ojciec natomiast od pierwszej chwili entuzjastycznie poparł te dążenia i sam usiłował wzniecić iskrę talentu, jaka się objawiła u jego córki już w najwcześniejszych latach dzieciństwa.

Niestety — Franeczka opowiada mi to ze szklącemi się od łez oczyma — tatuś aż nadto szybko ją odumarł...

Ale podobno nawet na łożu śmierci miał rzec:

— Pozwólcie Franeczce zostać tancerką.

Intensywna praca nad umiłowaną sztuką szybko daje piękne owoce. Po szeregu występów krajowych młodziutka jeszcze tancereczka walnie przyczynia się do zdobycia przez zespół Ireny Prusickiej cennego lauru międzynarodowego na zeszłorocznym konkursie wiedeńskim. A teraz pracuje intensywnie, aby zdobyć nowe laury.

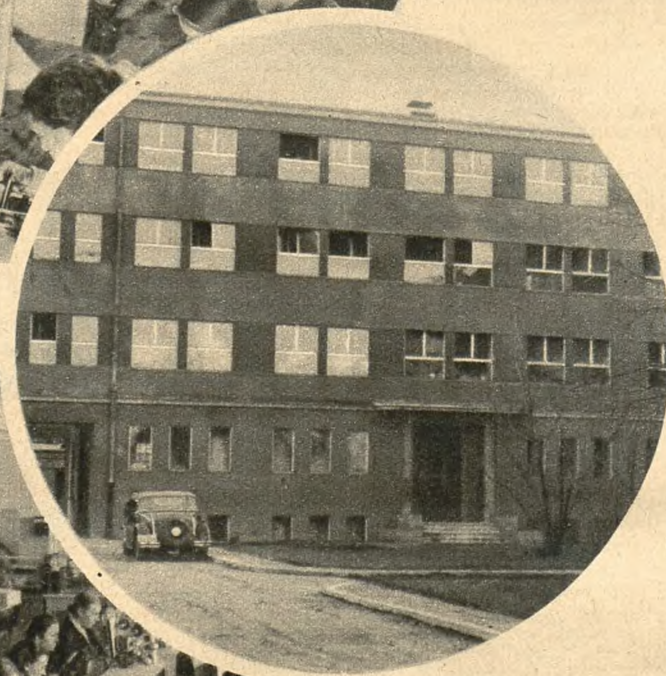


Zwiedzanie krajowej fabryki radjoodbiorników Telefunken w Warszawie

przez przedstawicieli zainteresowanych Ministerstw i instytucyj.







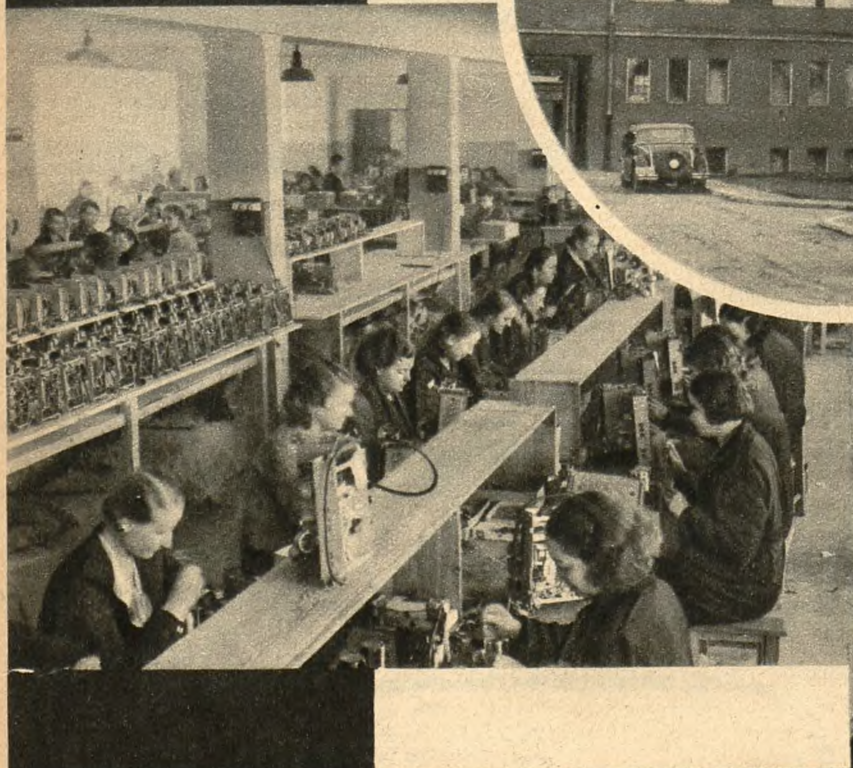
Ostatnio odbyło się zwiedzenie krajowej fabryki „Telefunken" w Warszawie. Wśród zwiedzających znajdowali się pp.: dyr. dep. techn. Min. Poczt. i Telegrafów Krzyczkowski, nacz. wydz. Min. Przemysłu i Handlu Moroński, nacz. dyrektor Polskiego Radja Roman Starzyński, sekretarz gen. Polskiego Radja płk. Z. Karaffa-Kreuterkraft oraz członkowie wydziału propagandy Polskiego Radja.

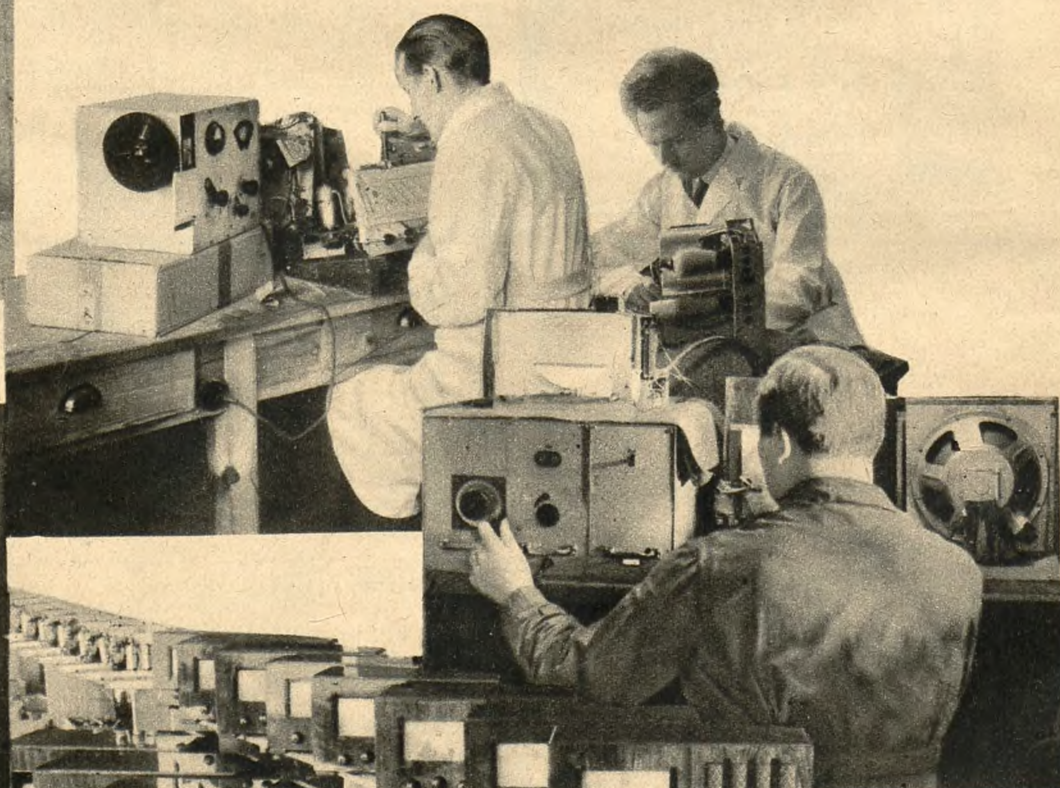
Poza tem obecny był nacz. wydziału Izby Przemysłowo-Handlowej w Warszawie B. Rutkowski, p. profesor Groszkowski, dyr. Państw. Inst. Telekomunikacyjnego oraz z Polskiego Związku Przedsiębiorstw Elektrotechnicznych pp.: prezes inż. Z. Okoniewski, wiceprezes inż. J. Bulzacki, dyrektor inż. J. Januszewski, przewodniczący sekcji radjotechnicznej R. Rudniewski.

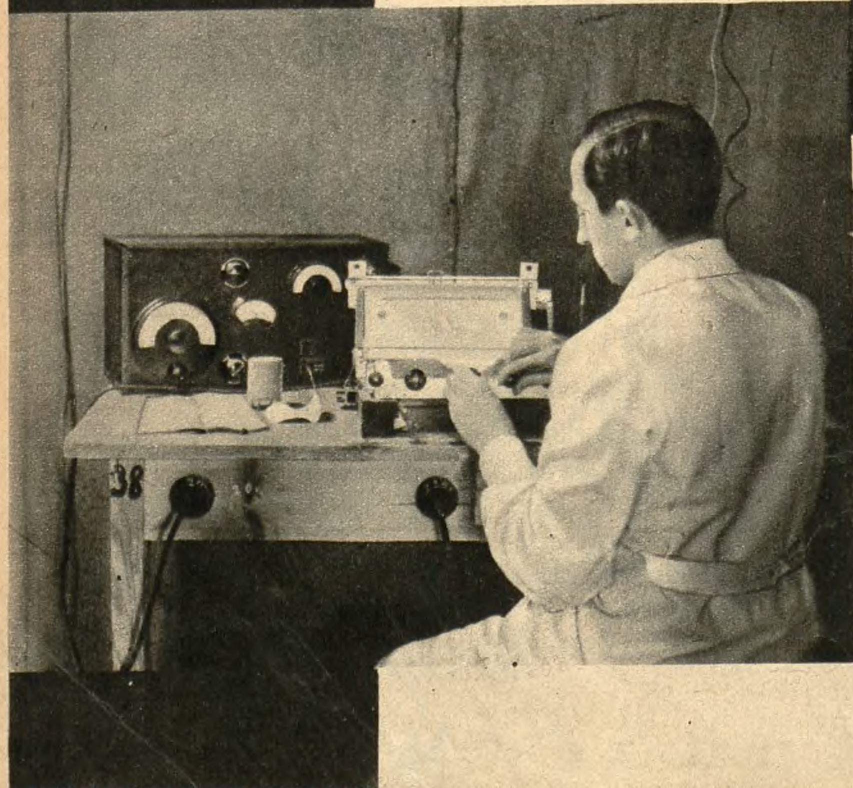
W trzech obszernych i widnych kondygnacjach nowoczesnego gmachu, zwiedzający mieli możność dokładnego obejrzenia kolejnych stadjów produkcji. Praca zorganizowana seryjnie idzie szybko i dokładnie.

Wszystkie gotowe aparaty poddawane są próbie w siedmiu stacjach kontroli. Wyspecjalizowani radjotechnicy przy pomocy najnowszych precyzyjnych aparatów sprawdzają jakość obwodów, kondensatorów, głośników itp. oraz czułość i selektywność gotowych odbiorników.

Fabryka produkuje około 300 aparatów dziennie. Krajowa fabryka „Telefunken" od kilku lat swego istnienia w Polsce, pracując wyłącznie przy pomocy kapitału polskiego, stale się powiększa i zatrudnia obecnie około 400 pracowników w fabryce i około 700 we warsztatach, wyłącznie pracujących dla tej firmy dostawców. Radjoodbiorniki „Telefunken" całkowicie wyrabiane są w Warszawie z polskich surowców.









Marja HESSEL — PIĘCIOPŁATNICA — 19 POWIEŚĆ

Grzebiński dygotał cały, resztkami sił broniąc się przed przerażeniem, które ogarniało go coraz potężniej. A przecież on nigdy w życiu swem nikogo i niczego się nie bał. Wreszcie zwyciężył, żelazną wolą stłumił w zarodku nędzny lęk, przygotowując się do walki na śmierć i życie o Florentynę, o siebie, o wszystko!...

Znowu w oknie stanęła Flora. Musiała coś powiedzieć, bo Edyth rzekła niespokojnie:

— Jakto, niema go? gdzie mógł się podziać?!

Stanisław zorjentował się natychmiast, że chodzi o klucz od bramy, który od czasu nocnego stróżowania zawsze miał przy sobie. Machinalnie sięgnął ręką do kieszeni: klucz był tam, gdzie go chował co wieczór.

— Zejdź na dół — rzekła Edyth — i wyjdź przez okno w jadalni! Nie bój się tego, że parter jest wysoki! Ja cię chwycę!

Po chwili okno w jadalni zaczęło połyskiwać i ruszać się. Flora otworzyła je, podniosła się na parapet i lekko skoczyła wdół. Edyth przedtem jeszcze podeszła do muru i chwyciła ją w ramiona, delikatnie stawiając na ziemi. Potem wzięła ją za rękę, jak małe dziecko i kierując się w stronę lasu, tą samą drogą, którą przyszła, rzekła:

— Chodź!!

Poszły. Grzebiński szybko wrócił do drzewa, za którem był początkowo ukryty, błyskawicznie narzucił na siebie plecak, nacisnął czapkę na głowę i pobiegł za niemi. Dwie postaci, prawie równe sobie wzrostem ,majaczyły przed nim niewyraźnie. Szedł za niemi, nie tracąc ich z oczu. Nie bał się już, bo on wogóle, jeżeli nawet poznał uczucie trwogi, nie bał się długo. Był zupełnie opanowany, przytomny, zimny, zacięty w uczuciu nienawiści i pragnienia zemsty nad tym, któremu szedł naprzeciw. Zaciskał zęby i wpijał paznogcie w dłonie: choćby szatana dojrzał przed sobą nie zdziwiłby się, ani przeraził.

O Florę był spokojny, bo wiedział, że nic jej się nie stanie. Spała snem hypnotycznym i nie istniały dla niej niebezpieczeństwa. Istniały tylko dla niego, więc cały umysł wytężał tylko w tym kierunku, aby razem z niemi zajść do celu cało i zdrowo.

Szli lasem. Edyth i Flora przeciskały się między drzewami. Teraz już kierował się tylko odgłosem, jaki wydawały potrącane przez nie gałęzie, bo nieprzejrzana ciemność wisiała nad lasem. Szedł tuż za niemi tak, że gdyby uczynił jeden większy krok, mógłby je schwycić za płaszcze. Wciąż lasami i lasami pięły się wgórę, wreszcie znaleźli się na szczycie. Edyth wiodła teraz Florę z góry na górę, z szczytu na szczyt, z grani na grań. Po przełęczach i skałach stąpały tak lekko i tak pewnie siebie, jakby miały bruk pod stopami. Stanisław obawiał się śmiertelnie, by ich nie stracić z oczu, bo kilkakroć już musiał zatrzymywać się. Gdy las został za niemi, nie było już — na szczęście — tak ciemno, jak poprzednio. Szedł jednak coraz ostrożniej, w chwili gdy one jak kozice przeskakiwały ze skały na skałę, nad przepastnemi urwiskami, nie wahając się sekundy nawet. I wciąż wgórę, wgórę, jakby szły do nieba. Stanisław wnet stwierdził, że w tych stronach jest pierwszy raz w życiu i że prawdopodobnie przed nim nie był tu nikt jeszcze. Błogosławił Boga, który stworzył go dzieckiem gór: nikt inny nie uniósłby życia z tych dzikich ostępów. Już pot okrywał mu czoło, nogi zmęczone niesłychanie trudną drogą, ciążyły mu, jak kamienie, ramiona omdlewały od bezustannego chwytania się za szkarpy. Ale szedł wciąż: przed nim widniała niewyraźnie postać najdroższej istoty, którą szedł ratować!

Spojrzał po nie niebie: daleko gdzieś i bardzo nisko, jakby w samej otchłani piekieł, delikatnie szarzało.

— Za jakąś godzinę wzejdzie słońce! — pomyślał.

Znajdowali się teraz u szczytu wysokiej góry, zarosłej gęsto drzewami i krzewami. Edyth, trzymając wciąż rękę Flory, wyprzedziła ją o krok i prowadziła wąziuteńką ścieżynką wśród zieleni tak dzikiej i splątanej, że Stanisław z największym tylko wysiłkiem mógł przeciskać się przez nią. Po upływie kilku minut znaleźli się nagle, naprost skały tak stromej i wysokiej, że wyjście na nią było zupełną niemożliwością.

Stanisław zatrzymał się. — Co teraz będzie! — pomyślał. U podstawy skała zawalona była mnóstwem kamieni, olbrzymich głazów i skalnych odłamów, które zamykały drogę.

Edyth położyła się na ziemi, rozkazawszy Florentynie uczynić to samo i wpełzła, jak wąż, w wąską szczelinę pomiędzy skałami. Stanisław postąpił tak samo. Kanty skał i kamienie drapały mu twarz, szyję, ręce, rozdzierały ubranie, ale on nie zważał na to. Bo oto nagle zaciemniał przed nim dość przestronny otwór w skale. Wpełzli tam i wszyscy troje odrazu podnieśli się: w skale wydrążone było przejście tak wąskie, że zaledwie dwie szczupłe osoby, jedna przy drugiej mogły niem przejść, ale tak wysokie, że Stanisław mógł wyprostować się prawie zupełnie.

Ogarnęła ich ciemność. Szli i szli. Wreszcie w skalnym korytarzu rozbłysło delikatne światło: skała kończyła się, a za nią widniała wolna przestrzeń. Edyth stanęła i chwilę coś manipulowała przy wyjściu ze skały, potem wyszły obie na otwartą przestrzeń. Stanisław nagle potknął się, jeszcze wgłębi skały, i upadł. Odległość pomiędzy nim a Edyth i Florą powiększyła się o kilkanaście metrów.

Gdy podniósł się i wypadł za niemi ze skały, stanął jak wryty. W świetle wstającego brzasku dojrzał prawdziwie orle gniazdo, najeżone ostremi szczytami skał, jak igłami. W pewnem miejscu wśród skał widniała żelazna brama, otwarta przez pół w dwie przeciwne strony jakąś niewidzialną ręką. Edyth i Flora wstąpiły właśnie w tę bramę i obie jej połowy poczęły się zsuwać.

Stanisława oblał zimny pot. Od bramy dzieliło go kilkanaście metrów. Jeżeli nie zdąży na czas, brama zatrzaśnie się. Spojrzał w niebo z błagalną prośbą. Trzeba było poprostu pobiec przed siebie błyskawicą i wpaść w otwór, który był coraz węższy, a jemu zmęczone śmiertelnie nogi odmawiały już posłuszeństwa. Był wyczerpany zupełnie. Począł biec przed siebie — i stanął znów. Tymczasem Edyth i Flora zniknęły mu z oczu i poszły przed siebie. W bramie pozostał otwór tak wąski, że za sekundę mogło być zapóźno.

Jeden straszliwy, nadludzki wysiłek... Stanisław skurczył się, a potem nagle wyprężył nogi, odbił się od ziemi, jak piłka — i skoczył. W tej chwili brama bez szelestu zamknęła się.

Upadł na coś miękkiego. Równocześnie w nozdrza buchnął mu przecudny jakiś, oszałamiający zapach, a nad głową zaszumiały mu wielkie drzewa.

Było to ostatnie wrażenie, jakie dotarło do jego świadomości: nagle w sercu coś mu zgrzytnęło okropnie, w oczach pociemniało — i zemdlał, padając twarzą w bujną trawę, mokrą od porannej rosy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Florentyna zbudziła się nagle około południa. Najwyższym wysiłkiem woli zwalczała ogarniającą ją nanowo senność, by jako tako utrzymać przytomność. Czuła się bardzo osłabiona, a w mózgu huczało jej coś i oczy bolały, jak po wielkim wysiłku wzrokowym.

Leżała na miękkiej, wygodnej pościeli. Skądś zgóry płynęło ku niej chłodne, świeże powietrze. Przymknęła oczy i z rozkoszą wciągnęła je w płuca; było nieskazitelnie czyste. Natychmiast uświadomiła sobie, że jest to powietrze górskie; miało przytem cudny, upajający zapach. Nie była to perfuma, lecz woń żywego kwiecia. Flora aż brwi zmarszczyła i usta zacięła z wysiłku, lecz nie mogła przypomnieć sobie tego zapachu.

A on roznosił się wokół i drżał w krystalicznem powietrzu — delikatny, dziwny, jak z innego świata...

Usiadła na łóżku i ze zdumieniem spoglądała na leżącą obok i w twardym śnie pogrążoną Edyth. Potem obrzuciła oczyma pokój, w którym się znajdowała. Do uszu jej dochodził szum drzew. Postanowiła wyjrzeć przez okno. Już wysunęła nogę na dywan, gdy spostrzegła, że w pokoju tym niema wcale okien. Zamiast nich rozpościerała się nad komnatą olbrzymia tafla z grubego, przeźroczystego szkła, przez którą widać było szafirowe niebo i złocistą poświatę słoneczną. Kwadratowe wentyle tego oryginalnego sufitu były szeroko porozchylane i stamtąd właśnie płynęło ku Florentynie owo pachnące powietrze. Na grubych kantach wentyli załamywały się promienie słońca, tworząc nad pokojem bajeczną tęczę barw, blasków i smug.

Oczy Flory oderwały się wreszcie od tej tęczy i padły na dywan, okrywający szczelnie całą podłogę, na wykwitne umeblowanie buduaru i wreszcie na drzwi, otwarte szeroko.

— Co to za pokój? Gdzie ja jestem? Skąd się tu wzięłam? — pytała w duszy samej siebie. Przypominała sobie doskonale, że wieczorem kładła się spać w swoim pokoju w Hotelu Wielkim.

— To jakiś figiel Edythy! — pomyślała. Uśmiechnęła się łobuzersko i, pochyliwszy głowę, przytuliła usta do rozrzuconych na poduszce hebanowych włosów przyjaciółki.

Edyth nie poruszyła się. Musiał ją dręczyć niespokojny sen, bo oddech jej był nierówny, to krótki i urywany, to długi i ciężki, jak westchnienie. Flora zauważyła, że śpiąca była blada, a oczy jej okrążał silny fioletowy cień, jak u ludzi bardzo zmęczonych, lub chorych.

W tej chwili spostrzegła, że zarówno Edyth, jak i ona sama, leży w sukni i pantofelkach. Na stojącym obok łóżka fotelu leżały, porzucone niedbale, dwa płaszcze. W jednym z nich Dęborówna poznała swój własny, w drugim płaszcz Edyth.

W sercu jej odezwał się niespodziewanie silny niepokój. W pierwszej chwili chciała zbudzić Edyth, lecz zrobiło się jej żal, gdyż śpiąca wydawała się być bardzo zmęczoną. Więc możliwie najostrożniej zsunęła się z łóżka i wybiegła do następnej sali. Był to różowy salon. Na fortepianie poniewierały się rozrzucone niedbale nuty, jakby ktoś grał niedawno.

Flora nie zwróciła na to wszystko żadnej uwagi. Szybko dążyła ku drzwiom. Przebiegała tak z sali do sali. Nikt jej nie zatrzymał. Wszędzie było pusto i cicho.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).



KATHLEEN BURKE w tańcu orjentalnym. *Fot. „PARAMOUNT".*

KUPON Nr. 51 *upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z 21-go grudnia 1935 r.*

Z OPERY POZNAŃSKIEJ



W Teatrze Wielkim wystąpiła ostatnio w „Halce“ Moniuszki utalentowana śpiewaczka, Aniela Tomkiewiczówna, zdobywając sobie kreacją nieszczęsnej Halki uznanie wszystkich miłośników artystycznego śpiewu. Już po zeszłorocznym debjucie młoda śpiewaczka zwróciła na siebie uwagę swym wybitnym temperamentem scenicznym oraz pięknie rozwiniętym głosem o wyjątkowo ładnej barwie. Obecnie głos jest jeszcze bardziej opracowany, brzmi pełniej i zyskał na wyrazistości. Młodej artystce wróżą świetną przyszłość, tembardziej, że posiada ona również wielki talent dramatyczny.

INKISZYNIOW i HARRY BAUR w FILMIE „POTWÓR“ (La tête d'un homme)



Scena z filmu „Potwór“ (Człowiek-Zwierzę), w którym role główne kreują Inkiszyniow i Harry Baur.
Fot. „PARLOFILM“.

Rewelacją w świecie filmowym był w swoim czasie występ genjalnego aktora Inkiszyniowa w filmie „Burza nad Azją“. Świetny ten aktor jest z pochodzenia mongolem. Kreacja jego w tym filmie wywołała ogólny zachwyt. Od tego czasu nie widzieliśmy tego aktora w żadnym poważnym obrazie. Występował on wprawdzie w kilku filmach, były to jednak obrazy przeważnie nieudane z winy scenarjusza, lub reżysera.

Ostatnio dopiero we Francji zrealizowano film, gdzie role główne powierzono: Inkiszyniowi i Harry Baurowi.

Harry Baur, jak wiadomo, jest jednym z najlepszych aktorów ekranu i teatru francuskiego, a występ jego w ostatnim filmie, reżyserowanym przez Turżańskiego „Oczy Czarne“ spotkał się z ogólnem uznaniem prasy całego świata. Tym razem Baur i Inkiszyniow wystąpią w filmie o temacie kryminalnym.

Film „Potwór“ (Człowiek zwierzę) zyskał wielkie uznanie krytyki francuskiej, a niebawem zawędruje na nasze ekrany.

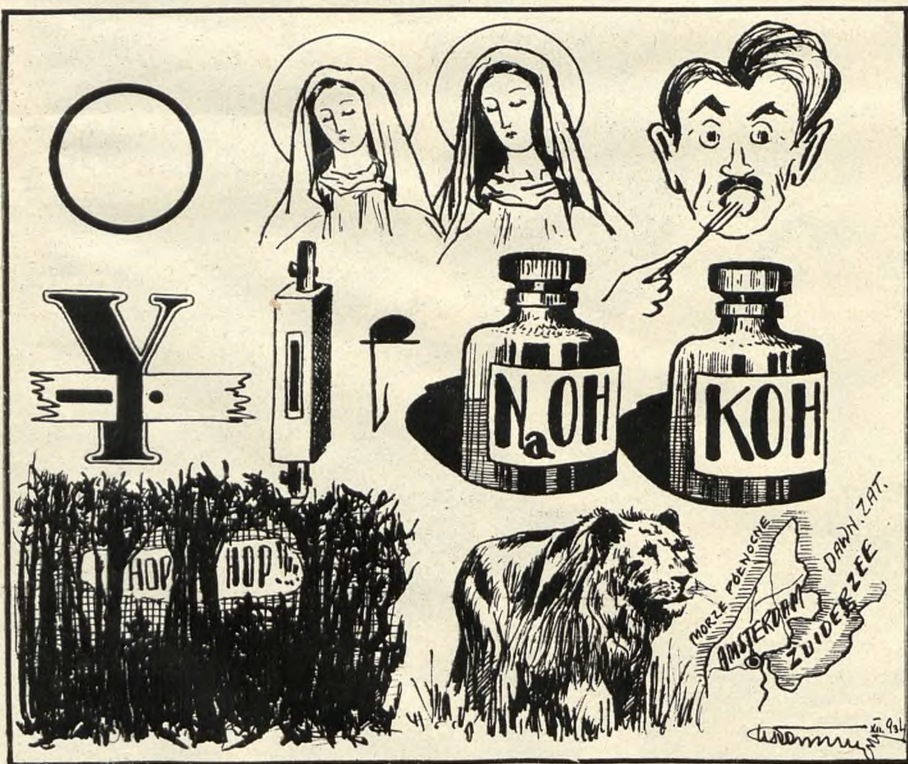
Główną rolę kobiecą kreuje w filmie tym Gina Manes, znana aktorka francuska.

Premjery tego niezwykłego obrazu oczekujemy z wielkiem zainteresowaniem. **Re.**

Rebus.

(Ułoż. i rys. W. Ustaszewski — Warsz. Klub Szaradz.).

Rebus to łatwy! Każdy chyba powie, że w treści kryje ludowe przysłowie.



Protest.
Szarada aktualna.

(Ułoż. „Kasta“ — Warsz. Klub Szaradzistów).

Już wojna wypłynęła **cztery pierwsze-drugie**,
pięć Mars **siódme** i **drugie** otworzył skwapliwie,
Afrykę przeorując śmiercionośnym pługiem.
Przy różnicy techniki wcale się nie dziwię,
że **raz-dwa** Abisynja w posoce i zgliszczach,
gdy Włoch cywilizacji przeszczepienie ziszcza.

Osiem-sześć jeszcze cierpień i losu zasadzek
na **trzeciego-piątego** Etjopczyka czyha,
przez jakie **pierwsze-dziewięć** i **szóste** prowadzić
będzie z bitwy do bitwy nieczuła Śmierć cicha,
trudno docieć i zgadnąć... Ale jedno wie się,
że wspomnienie tej zgrozy będzie **dziewięć-dziesięć**.

Cóż z tego, że stolica jest, jak **Czwór-dziesiąte**,
niepozorna i biedna, że kraj — bez kultury!
Trzeba sprawę ujmować pod przemocy kątem
i dojrzeć w rękawiczkach ukryte pazury
i krzyczeć do Ludzkości, póki głosu w grdyce,
że gwałt ten **Tertio retro-octavo** *) non licet!

*) Trzeciemu wspak-ósmemu.

(Uwaga: Rozwiązanie szarady składa się z 7 wyrazów o początkowych literach: T, n, w, a, r, i, p).

Za rozwiązanie powyższych dwóch zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

TRZY NAGRODY.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31 stycznia 1936 r.

Rozwiązanie należy nadsyłać najpóźniej do dnia 30 grudnia 1935 wraz załączonym kuponem.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 48 nadesłali:

Janina Markowska, Warszawa; Stanisław Walczyński, Częstochowa; **Walerja Wasilewska, Częstochowa (zł. 20.—)**; Lola Zarembina, Toruń; Janina Dobrowolska, Toruń; Wanda S.; „Fiłek z Baranowicz“; Władysław Kłaput, Kraków; Zb. Block, Kraków; „77“, Poznań; K. Podwysocki, Rembertów; Zygmunt Korzeniowski, Zakopane; Edmund Korzeniowski, kówna, Kraków; Irena Jurczykówna, Jaworzno; Feliks Wachulski, Jaworzno; Walerjan Sikorski, Toruń; Władysław Rodowicz, Wilno; Bronisław Morawski, Katowice; Witold Goles, Monasterzyska; Marja Baworowska, Sorocko; Włodzimierz Szafrański, Murowana Goślina; Stanisława Zaworska, Poznań; Bronisława Wittówna, Poznań; Stanisław Łachecki, Poznań; Wandzia Zerbstówna, Żabikowo; Niki Czaban, Poznań; Antoni Ossowski, Miłosław; St. Mikowska, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; Czesław Błażejewski, Ząbki; Janusz Roman, Warszawa; Zygmunt Tietz, Warszawa; Józefa Drabik, Warszawa; Mieczysław Lis, Kraków; Janina Czeremetowa, Lwów; Marja Ochońska, Żywiec; Władysław Ostrowski, Żywiec; Zofja Walerysiak, Warszawa; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; Jan Norbert Maziarz, Ozorków; W. Nosé, Anin; Jan Górski, Warszawa; K. Łukasiewicz, Brzeżany; Mery Piwowarczykowa, Borysław; Józefa Jamrowa, Borysław; Klub Pracowników „Gazoliny“, Borysław; Eugenjusz Przybysz, Warszawa; Wiktor Lewinson, Białystok; inż. J. Gilewicz, Warszawa; Jan Badura, Szopienice; „Wirenel“, Warszawa; Apolonja Askanasowa, Płock; inż. Zygmunt Słowikowski, Warszawa; Władysław Zioło, Zielonka; Janina Skrzypczakówna, Ceradz Kościelny; Mirosław Gołębniak, Poznań; Jerzy Zapiór, Kraków; Marjan Jagusiński, Kraków; Wiwa Berbecka, Warszawa; Józef Urban, Targanica; Antoni Plskura, Andrychów; Anna Loeglerowa, Lwów; Józef König, Toruń; **Marja Lewicka, Monasterzyska (zł. 10.—)**; L. Ludwikiewiczówna, Łódź; Irena Kieniewiczówna, Bereżne; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; Marjan Piątkowski, Bielsko; Ewa Brzozowska, Warszawa; inż. Tadeusz Nycz, Szelków Nowy; Mieczysław Mikulski, Otynja; Alfreda Świtkowska, Lwów; Stanisław Wojciechowski, Kraków; Michalina Garczyńska, Krzemieniec; Antoni Kucia, Kraków; Follek Rajmund, Rybnik; Stanisław Filipiak, Poznań; Jadwiga Mościcka, Brochoszewice; Stanisław Nowicki, Poznań; Wacław Tyblewski, Poznań; Wanda Zakrzewska, Toruń; Stanisława Olszewska, Toruń; **Witold Majewski, Warszawa (prenumerata miesięczna „Swiatowida“ od 1—31. I. 1936)**; Leopold Socha, Będzin; Franciszek Staszak, Będzin; Sabina Piechocka, Środa; Kazimierz Kłaput, Wadowice; ks. Jan Lewicki, Przemyślany; Antoni Mieczkowski, Wilno; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; Nycz Władysław, Poznań; Józef Kucznik, Katowice; Arjusz Droski, Grudziądz; Kazimierz Wojciechowski, Wieluń; Teofil Sobecki, Poznań; Eustachy Kidyba, Włodzimierz.

Nagrody otrzymali pp.: Walerja Wasilewska, Częstochowa (zł. 20.—), Marja Lewicka, Monasterzyska (zł. 10.—), oraz Witold Majewski, Warszawa (prenumerata miesięczna „Swiatowida“ od 1—31. I. 1936).

Nagrody pieniężne redakcja „Swiatowida“ prześle niebawem.

Rozwiązanie z N-ru 48:

REBUS: Los tego nie lubi człowieka, który skarży się ciągle i stale narzeka.
SZARADA: Mija rocznica sprzysiężenia listopadowego.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9. Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.



HEJ KOLENDA, KOLENDA...